





WORK-ROOM GROUP

SP. Z O.O. SP.K.
ul. Rydygiera 8
budynek 3A
01-793 Warszawa
tel. 22 414 15 23
workroomgroup.com

REDAKTOR NACZELNA
Dorota Kornacka

DYREKTOR ARTYSTYCZNA
Marta Delstanche

LIDER PROJEKTU (PZU)
Agnieszka Kozok

BUSINESS CONTENT MANAGER (PZU)
Agnieszka Szczurowska
Małgorzata Boruc

KOREKTA
Dominik Wódz

ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Wojciech Prażmowski
„Fotografia dla Matsudy”,
1991–2000
Dom Aukcyjny Libra
(zdjęcie z kolekcji
Wojciecha
Jędrzejewskiego)

WSTĘP



Relacje nieznane

„Nie powinna być celem wycieczki kilkudniowej, lecz może się stać przygodą na całe życie. Chociaż i życia nie starczy. Jest za wielka, za bogata, zbyt różnorodna” – tak o Rosji pisze Wacław Radziwiłowicz (str. 14). A jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że udało mu się poznać Rosję. Wniknął w ten kraj, zrozumiał jego mieszkańców, dotknął rosyjskiej duszy. Ale aby to zrobić, odrzucił utarte ścieżki. Wolał odkrywać nowe.

Taką samą drogę, tyle że w świecie muzyki, wybrał niegdyś Krzysztof Komeda, a dziś robi to kolejne już pokolenie polskich jazzmanów. I znajduje uznanie na międzynarodowych scenach (str. 40). Podobnie postąpił Wojciech Kępczyński, dyrektor Teatru Muzycznego Roma. Gdy przed laty obejmował to stanowisko, postawił na sponsoring, promocję, reklamę, public relations i outsourcing. Stworzył tym samym nowy w Polsce model biznesowy państwowego teatru (str. 8). Chęć odnalezienia tego, co nieznane, stoi także za sukcesem prof. Krzysztofa Selmaja, który wraz z zespołem odkrył typy cząsteczek mikro-RNA. Dzięki temu będzie można szybko diagnozować stwardnienie rozsiane (str. 44).

Wszystkie te przykłady świadczą o tym, że bez poszukiwania nieuczęszczanych dotąd szlaków i odwagi, by nimi podążać, nie ma rozwoju: nauki, sztuki, kultury, biznesu. Cieszymy się, że także my dostarczamy na to dowodów. PZU jako pierwsza instytucja finansowa w Europie uruchomiło w 2017 roku trójstronne połączenia wideo przez internet z konsultantem w języku migowym (str. 6). Wprowadziliśmy tym samym nowatorski sposób obsługi klientów głuchych i niedosłyszących. Stworzyliśmy nową jakość.

MACIEJ TYMUSZ

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY W PIONIE
KLIENTA KORPORACYJNEGO PZU SA
FOTO: ARCHIWUM PZU

RELACJE Z PZU



PARYSKI TRIUMF PZU 06

Międzynarodowe jury doceniło innowacyjny sposób,
w jaki PZU obsługuje klientów głuchych i niedosłyszących



PZU GO – BO LICZY SIĘ KAŻDA SEKUNDA 12

Rewolucyjny system telematyczny automatycznie
wezwie pomoc, gdy zdarzy się wypadek



SPORT TO ZDROWIE... Z KARTĄ FIT PLUS 20

Karta PZU Zdrowie i sieci Calypso Fitness Club łączy
zalety karnetu sportowego i abonamentu medycznego

RELACJE BIZNESOWE



DYKTATOR Z LUDZKĄ TWARZĄ 08

Wojciech Kępczyński: wyprzedził przemysł
samochodowy, tworząc model hybrydowy w teatrze



KTO ZARABIA NA KORONIE? 26

Brytyjska monarchia to narodowe dobro i narodowy
biznes, który wspiera gospodarkę



TRADYCYJNIE, EKOLOGICZNIE, W KOSTCE 48

Twórcy manufaktury Herbs & Hydro udowodnili,
że na zatłoczonym rynku można znaleźć lukę

SPORTOWE RELACJE



SZLACHETNA PASJA 34

Jeździectwo to połączenie klasy i elegancji. Nic
dziwnego, że zyskuje coraz więcej entuzjastów

MODNE RELACJE



MOJA ROSJA 14

Wacław Radziwinowicz, wieloletni korespondent
w Rosji, zdradza, gdzie szukać rosyjskiej duszy



MIASTA PRZYSZŁOŚCI 30

Z Pauliną Wilk, reportażystką, rozmawiamy o tym,
w jakich metropoliach przyjdzie nam żyć jutro



Z KOMEDĄ W TLE 40

Polski jazz nie żyje chlubną przeszłością. Wciąż
się rozwija, choć chętnie odwołuje się do tradycji



„GORSZA” SIOSTRA MALARSTWA 52

Polski rynek fotografii kolekcjonerskiej zmienił się
w ostatnim dziesięcioleciu. Czy dojrzał do kolejnego etapu?

ZDROWE RELACJE



WYGRAĆ Z SM 44

Czy dzięki odkryciu prof. Krzysztofa Selmaja stwardnienie
rozlane będziemy diagnozować na wczesnym etapie?

RELACJE OSOBISTE



SIŁA KONFLIKTU 22

Konflikty są siłą napędową, ale trzeba nimi odpowiednio
zarządzać – mówi Wojciech Haman, trener biznesu

RELACJE KULTUROWE



GDAŃSK NA TOPIE 58

Oto miasto, które w ostatnim roku zyskało przychylność
i pozytywne oceny turystów z całego świata

Paryski triumf PZU

Innowacyjne podejście do obsługi klientów głuchych i niedosłyszących przyniosło nam uznanie międzynarodowego gremium i nagrodę EFMA-Accenture Innovation in Insurance 2018. Jury doceniło usługę, która umożliwia jednocześnie połączenie wideo przez internet z tłumaczem języka migowego i ze specjalistą PZU.



FOTO: ARCHIWUM PZU

W naszym kraju mieszka ok. 50 tys. ludzi, którzy posługują się polskim językiem migowym. Aby zapewnić im komfort, zaczęliśmy w listopadzie 2015 roku obsługiwać ich w tym właśnie języku. Początkowo jednak, aby skorzystać z takiej możliwości, klienci musieli wybrać się do jednego z oddziałów PZU, w których była ona dostępna.

DWA LATA PÓŹNIEJ, W GRUDNIU 2017 ROKU, POSZLIŚMY O KROK DALEJ. I wprowadziliśmy innowacyjną na skalę Europy usługę. Dzięki niej klienci głusi i niedosłyszący mogą jednocześnie uzyskać połączenie wideo przez internet z tłumaczem języka migowego i ze specjalistą PZU. To nowatorskie rozwiązanie powstało we współpracy z polskim start-upem Migam. Usługa przynosi korzyści zarówno klientom głuchym i niedosłyszącym, jak i PZU. Ci pierwsi mogą załatwić niemal każdą



Od lewej: Tomasz Łysiak, Grzegorz Goluch, Krzysztof Bachta, Szymon Kania

sprawę i uzyskać informacje dyskretnie, bez wychodzenia z domu i angażowania innych osób. Wystarczy, że mają komputer lub urządzenie mobilne z kamerką internetową i dostęp do internetu. Z kolei PZU dzięki temu, że korzysta z pomocy tłumaczy języka migowego, zapewnia profesjonalną jakość tłumaczenia i ogranicza do minimum ryzyko nieporozumień. Nie bez znaczenia jest także aspekt finansowy – usługa jednoczesnego trójstronnego połączenia online kosztuje znacznie mniej niż zatrudnienie tłumaczy polskiego języka migowego w oddziałach PZU.

NOWATORSKA USŁUGA NAJWIĘKSZEGO POLSKIEGO UBEZPIECZYCIELA ZYSKAŁA UZNANIE MIĘDZYNARODOWEGO JURY. Doceniło ono innowacyjny sposób, w jaki obsługujemy klientów głuchych i niedosłyszących. I przyznało nam nagrodę EFMA-Accenture Innovation

in Insurance 2018 w kategorii „Customer Experience & Engagement”. Nasi przedstawiciele odebrali ją 12 czerwca 2018 roku podczas uroczystej gali, która odbyła się w Paryżu. European Financial Management Association (EFMA) jest organizacją, która zrzesza 3300 banków i ubezpieczycieli z ponad 130 krajów świata. Powstała, aby oferować swoim członkom dostęp do najbardziej innowacyjnych rozwiązań w branży finansowej. O przyznaniu nagrody EFMA-Accenture Innovation in Insurance decyduje międzynarodowe jury. Wyróżnia ono najbardziej innowacyjne projekty w sektorze ubezpieczeniowym, które wykorzystują nowe technologie i są odpowiedzią na największe wyzwania ery cyfrowej. Nasze zwycięstwo jest tym cenniejsze, że rywalizacja była bardzo zacięta. Do konkursu zgłoszono ponad 320 innowacji z 237 instytucji finansowych z 45 krajów globu.

Dyktator z ludzką twarzą



Uczyłem się w USA i Wielkiej Brytanii, jak prowadzić teatr w gospodarce rynkowej. Przekształcając Romę, postawiłem nie tylko na sponsoring, lecz także promocję, reklamę, PR i outsourcing – mówi Wojciech Kępczyński, dyrektor Teatru Muzycznego Roma i twórca jego sukcesów.

ROZMAWIAŁA: SYLWIA BOROWSKA

FOTO: MATERIAŁY PRASOWE/KAROL MAŃK, KAJUS W. PYRZ

S.B.: Ile lat kończy Pan w tym roku jako dyrektor Romy?

W.K.: 20 lat! (śmiech) W tym roku będę obchodził jubileusz.

S.B.: Dorósł Pan? Zarabia Pan już na siebie, dyrektorze?

W.K.: Zacząłem zarabiać po pięciu latach w Romie. Inaczej musielibyśmy zamknąć teatr. Nasze produkcje są bardzo drogie, ale po roku zazwyczaj spektakl jest już spłacony.

S.B.: Jak brzmi Pańskie motto?

W.K.: Zróbmy lepszą premierę od poprzedniej. Zróbmy przedstawienie życia.

S.B.: Wychodzi Panu! 20 lat temu porwał się Pan na coś, co wydawało się niemożliwe – wypracowanie nowego modelu biznesowego w państwowym teatrze.

W.K.: Można powiedzieć, że wyprzedziłem przemysł samochodowy (śmiech), tworząc model „hybrydowy”. Roma dostawała

środki z budżetu miasta Warszawy, ale z roku na rok były one coraz mniejsze. Kiedy obcięto nam dotację o połowę, jedna z urzędniczek w magistracie powiedziała z rozbijającą szczerością: „Musimy wspierać teatry, do których widz nie przychodzi. Państwo świetnie dajecie sobie radę, w związku z czym nie potrzebujecie aż tak dużej dotacji”. Tymczasem w USA, kiedy składasz wniosek o dofinansowanie wydarzenia kulturalnego, to przede wszystkim musisz udowodnić, że pieniądze, które wydano na to poprzednie, się zwróciły. Wtedy za każdego zarobionego dolara otrzymasz dwa dolary dotacji. Tam nagradza się operatywność. U nas – przeciwnie. Dawaliśmy sobie coraz lepiej radę, bo postawiłem na sponsoring. Do pieniędzy z budżetu miasta dokładałem prywatne, dzięki czemu mogliśmy przeć do przodu. Dzisiaj dotacja wystarcza głównie na opłacenie czynszu w budynku, który należy do Kościoła.

S.B.: Początki Pana dyrekcji musiały być drogą przez mękę.

W.K.: Pierwszych pięć lat. Protesty ludzi, zadłużenie na 3 mln zł, które wtedy znaczyły więcej niż teraz. Musiałem to spłacić. Gdy obejmowałem stanowisko dyrektora Romy, na etatach było zatrudnionych ok. 350 osób. Wielka orkiestra, chór, artyści.

Dyrektor teatru musi być dyktatorem. To on decyduje o tym, jaki spektakl będzie wystawiony, ale sam go nie robi.



Poprzedni dyrektor teatru chciał przekształcić go w scenę operową, aby konkurować z Operą Narodową. Gros artystów nie chciała ze mną pracować. Po trzech latach większości wygasły umowy. Wprowadziłem castingi. To były dla mnie trudne czasy. Nieprzespane noce. Na szczęście pierwszy spektakl pod moją dyrekcją, „Crazy for You”, okazał się sukcesem. Potem kolejno: „Miss Saigon”, „Grease” i „Piotruś Pan”. To pomogło zrozumieć niektórym, że obrałem właściwy kierunek.

S.B.: Przesypia Pan już noce?

W.K.: Teraz nieprzespane noce zdarzają się mi przed każdą premierą. Adrenalina napędza mnie i trzyma przy życiu. Kiedy od-

nosimy sukcesy, czuję, że mogę wystawiać nowe premiery jeszcze długo. Mamy 1000 osób na widowni i sale są pełne. Ostatni sukces to musical autorski „Piloty”. Do dziś zagraлиśmy 200 spektakli dla 200 tys. widzów. Musical w Polsce staje się modny.

S.B.: Dlatego tak Pan się uparł na musicale?

W.K.: Marzyłem o tym od dawna. W latach 90. prowadziłem eklektyczny teatr w Radomiu. Z jednej strony wymyśliłem Festiwal Gombrowiczowski, który spotkał się z wspaniałym przyjęciem, a z drugiej porwałem się na wystawienie dwóch musicali – „Józef i cudowny płaszcz snów w technikolorze” i „Fame”, ten ostatni wspólnie z Teatrem Komedia w Warszawie. Potem wygrałem konkurs na dyrektora Teatru Muzycznego Roma i zaproponowałem przekształcenie go z operetkowego w musicalowy.

S.B.: Pamięta Pan pierwszy musical, jaki obejrzał w życiu?

W.K.: Od małego byłem wychowany w kulcie opery i musicalu. Mam wykształcenie muzyczne i teatralne. To wszystko prowadziło w jednym kierunku. Miałem 12 lat, kiedy poszedłem z rodzicami do ambasady amerykańskiej, by obejrzeć film „West Side Story”. Zrobił na mnie ogromne wrażenie. Potem była wycieczka na Broadway. Jednak to nie on, lecz londyński West End skradł mi serce. Na początku lat 80. wyjeżdżałem na 2–3 miesiące do Anglii, by pracować na budowie i móc utrzymać rodzinę w Polsce. Ale też po to, by po pracy wziąć prysznic, włożyć czystą koszulę i pójść obejrzeć „Upiora w operze” czy „Grease”. Stałem godzinami, żeby kupić bilet.

S.B.: Wyjazdy za granicę otworzyły Panu oczy?

W.K.: Zaczęło się to już w latach 70. od prestiżowego stypendium reżyserskiego, które dostałem po ukończeniu studiów

w PWST. Wyjechałem do Francji, aby asystować m.in. Jeanowi-Louisowi Barraultowi. Tak nauczyłem się nowoczesnego teatru. Potem były lata 80. w Londynie, a w latach 90., gdy zostałem dyrektorem teatru w Radomiu, otrzymałem również stypendium United States Intelligence Agency i British Council. Uczyłem się w Stanach i Wielkiej Brytanii, jak prowadzić teatr w gospodarce rynkowej. Myśląc o przekształceniu Romy, postawiłem nie tylko na sponsoring, lecz także promocję, reklamę, public relations i outsourcing. Techniczną obsługą sceny czy sprzątaniami zajmują się dziś w Romie firmy, które wygrały przetarg. Wiedziałem od początku, że pieniędzy na kulturę z każdym rokiem będzie coraz mniej. Teraz coś jakby drgnęło w drugą stronę, choć nie sądzę, żeby to miało wpływ na moją dotację. Obawiam się za to czegoś innego – nowe przepisy, które ostatnio się pojawiły, mogą wiązać mi ręce.

S.B.: Czy szukanie sponsorów nie staje się aby coraz trudniejsze?

W.K.: To prawda. Od pewnego czasu sponsorzy się boją. Wokół sponsoringu kultury panuje podejrzana aura, ponieważ nie regulują go konkretne przepisy, dzięki którym byłby jawny i postrzegany pozytywnie. Przydałyby się tutaj przejrzyste zasady. Tak, by sponsor był dumny z tego, że współfinansuje jakieś wydarzenie kulturalne, i żeby był partnerem biznesowym, a nie firmą, którą posądza się o jakiś szwindel. Przez wiele lat mieliśmy sponsorów stałych: Allianz, Polskie Linie Lotnicze LOT, Hotel Polonia, i prywatnych, którzy po prostu lubili nasz teatr. W Stanach Zjednoczonych sponsoring ma 200-letnią tradycję. W domu sponsora w centralnym miejscu wisi tabliczka albo stoi statuetka, która jest świadectwem jego hojności. U nas nie ma tej tradycji.

S.B.: Ma Pan dar do otaczania się odpowiednimi ludźmi?

W.K.: Można tak powiedzieć. Dyrektor teatru musi być dyktatorem. To on decyduje o tym, jaki spektakl będzie wystawiony, lecz sam go nie robi. Z wieloma ludźmi pracuję od lat. Moją prawą ręką w sprawach artystycznych jest Sebastian Gonciarz – resident director, Agnieszka Brańska – choreografka, Dorota Kołodyńska – kostiumografka, kiedyś Daniel Wysogrodzki, teraz Michał Wojnarowski – tłumacze, autorzy tekstów do musicali. Dyrektorem muzycznym teatru przez lata był Maciej Pawłowski, a teraz jest nim Jakub Lubowicz, który napisał oryginalną muzykę do „Pilotów”. Ten musical od początku do końca został stworzony przez nas. To nie jest adaptacja, tak jak było w przypadku zagranicznych hitów „Miss Saigon” czy „Grease”.

S.B.: O wystawieniu, jakiego musicalu marzy Pan w najbliższych latach?

W.K.: Marzy mi się wystawienie nowej wersji musicalu „Hair”. Zawsze lubiłem trochę narozrabiać, ale tylko w teatrze (śmiech).



WOJCIECH KĘPCZYŃSKI
DYREKTOR NACZELNY
I ARTYSTYCZNY
TEATRU MUZYCZNEGO
ROMA W WARSZAWIE

Reżyser teatralny, choreograf, pedagog, aktor.

Ukończył Państwową Szkołę Baletową PWST w Warszawie. W latach 1983–1985 pracował w Teatrze Rozmaiłości w Warszawie, a potem w chorzowskim Teatrze Rozrywki. Był reżyserem w Teatrze Powszechnym im. Jana Kochanowskiego w Radomiu, następnie – jego dyrektorem naczelnym i artystycznym. W 1998 roku objął stanowisko dyrektora naczelnego i artystycznego Teatru Muzycznego Roma w Warszawie.

PZU GO – bo liczy się każda sekunda

PZU szykuje rewolucję. Jeszcze w tym roku jako pierwszy ubezpieczyciel w Europie wprowadzi innowacyjny system telematyczny, który automatycznie wezwie pomoc w razie kolizji lub wypadku. Wystarczy, że kierowca wyposaży swój samochód w małe urządzenie, tzw. beacon. Jest ono samowystarczalne i działa przez trzy lata.

FOTO: ARCHIWUM PZU, ARCHIWUM PRYWATNE

Wygląda niepozornie i jest tak mały, że zmieści się nawet w dziecięcej dłoni. A jednak bez dużej przesady można powiedzieć, że został stworzony do wielkich rzeczy. Gdy trzeba – może uratować ludzkie życie. PZU GO – bo o nim mowa – to innowacyjny system telematyczny, który automatycznie wzywa pomoc, gdy dojdzie do wypadku lub kolizji na drodze. Jak to działa? Wystarczy przykleić beacon do przedniej szyby w samochodzie. W sytuacji zagrożenia urządzenie łączy się za pośrednictwem Bluetootha z aplikacją w telefonie i wysyła sygnał

do Centrum Alarmowego PZU. Jego pracownicy próbują skontaktować się z kierowcą. A gdy ten nie odbierze telefonu, niezwłocznie wysyłają na miejsce wypadku służby ratunkowe.

ROZWIĄZANIE PZU GO JEST NIEMAL IDENTYCZNE Z SYSTEMEM ECALL, w który od 1 kwietnia 2018 roku jest wyposażony każdy nowy samochód (z nową homologacją) w Unii Europejskiej. Po co więc je stworzyliśmy? Ponieważ nie mamy złudzeń, że zanim eCall będzie powszechnie dostępny w naszym kraju, miną lata. Nie zapominajmy, że zdecydowaną większość aut w Polsce stanowią pojazdy nie nowe, lecz używane – ich średni wiek przekracza 10 lat. Gros rodzimych kierowców nie skorzysta więc w najbliższym czasie z zalet eCall.



Co o PZU GO myśli Klaudia Podkalicka, kierowca rajdowy i wyścigowy, zdobywczyni drugiego miejsca w Pucharze Świata podczas Rajdu Baja Poland, wicemistrzyni ADAC Logan Cup i najszybsza kobieta w historii pucharu Kia Lotos Race? Wspólnie z ojcem – Mariuszem Podkalicim, trzykrotnym mistrzem Polski w wyścigach samochodowych – prowadzi Akademię Bezpiecznej Jazdy.

Takie nowoczesne rozwiązania do tej pory wprowadzali niektórzy producenci samochodów w postaci przycisku SOS. Nie każdy jednak może sobie pozwolić na kupienie modelu prosto z salonu. A aplikacja, którą proponuje ubezpieczyciel, jest łatwa do zainstalowania nawet w samochodach starszych roczników. Dzięki niej kierowca będzie miał poczucie, że podczas kolizji czy usterki nie jest pozostawiony sam sobie. To na pewno wpłynie na komfort jazdy. W szoku i stresie trudno wzywać pomoc. Trudno także ustalić dokładnie miejsce, liczbę poszkodowanych i stan, w jakim się znajdują. To rozwiązanie może być ostatnią deską ratunku. Jazda samochodem po polskich drogach dla wielu osób wciąż jest męcząca i stresująca. Kojarzy się z przykrym obowiązkiem, zwłaszcza dla tych z nich, które jeżdżą rzadko i nie czują się pewnie za kółkiem. Każdy z nas zna kierowcę, który porusza się tylko przeciwnymi trasami, prawda? Albo takiego, który po dotarciu na miejsce musi się zdrzemnąć, bo na nic już nie ma siły. Mamy wystarczająco dużo stresogennych sytuacji dookoła siebie. Nie komplikujmy sobie życia i sięgajmy po dostępne rozwiązania, aby zapewnić bezpieczeństwo i komfort jazdy sobie i bliskim.



usługi. Planujemy, że będzie to możliwe jeszcze w tym roku.

MAMY NADZIEJĘ, ŻE ZNACZĄCA WIĘKSZOŚĆ NASZYCH KLIENTÓW – O ILE NIE WSZYSTY – SKORZYSTA Z PZU GO. Jesteśmy

jednak przekonani, że nawet jeśli tak się nie stanie, to rewolucyjne rozwiązanie jest potrzebne i ma sens. Stwarza bowiem realną szansę, by uratować czyjeś życie.

Chcemy także rozwiązać ewentualne wątpliwości klientów i zapewnić, że naszym nadrzędnym celem jest zapewnić im bezpieczeństwo. A to oznacza, że standardowo PZU GO będzie służyło wyłącznie do tego, by błyskawicznie poinformować o wypadku służby ratownicze. Wszelkie dodatkowe dane telematyczne, takie jak np. styl jazdy, będą rejestrowane tylko wtedy, gdy zażyczy sobie tego klient.

Obecnie trwa program pilotażowy PZU GO. Najpierw kilkudziesięciu naszych pracowników testowało to rozwiązanie w swoich samochodach. Wraz z nadejściem lata dołączyli do nich kolejni użytkownicy urządzenia. Wszystko po to, by sprawdzić, czy zarówno sprzęt, jak i oprogramowanie odróżnią wypadek od innych zdarzeń drogowych i w sytuacji zagrożenia zadziałają prawidłowo – poinformują o nim naszą centralę. Dopiero gdy zyskamy co do tego pewność, rozpoczniemy komercyjną dystrybucję

Moja Rosja

Opisać Rosję... Nie, tego się nie da zrobić. Za wielka, za bogata, zbyt różnorodna. Kiedy mnie pytają, jaka ona jest, odpowiadam: „Rosja jest jak bagno. Wciąga”.

TEKST: WACŁAW RADZIWINOWICZ

FOTO: SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE

Jeśli staniesz na zachodnim brzegu Wołgi, największej rzeki Europy, gdzieś w Niżnym Nowogrodzie, gdzie łączy się z małą przy niej Oką, jak Wisła szeroką, i widzisz ten ogrom wody po horyzont, to wiesz, że to i tak mało. Bo dalej jest jeszcze większy Ob z Irtyszem. A potem jeszcze potężniejszy syberyjski „ojciec Jenisiej”, pędzący przez Krasnojarsk z szybkością pociągu towarowego.

ALE TAK NAPRAWDĘ RZEKI NIE WIDZIAŁ TEN, KTO NA DALEKIM WSCHODZIE NIE TRAFIŁ NAD LENĘ.

Tam trzeba być, kiedy w maju pękają lody i dzika piękność sroży się, niosąc kry o rozmiarach i wadze czołgu. Rozlana, ale nie rozlazła, bo bystra niczym górski strumień, kruszy po drodze miasta, wioski, karczuje tajgę. Potęga.

Kiedyś po takim najściu Leny trafiłem na szeroką, piaszczystą plażę. Jacyś ludzie wygrzebywali coś z piasku. Bo kilka dni wcześniej to nie była plaża, lecz dobrze urządzona wieś ze szkołą, z domem kultury. Lena przeszła i został tylko złoty, drobny piasek.

Z Rosją tak właśnie jest. Za tą rzeką, która widzisz i podziwiasz, jest następna i jeszcze następna, i jeszcze... A do tej, która jest godna podziwu najbardziej, masz daleko, daleko.

Za górami są kolejne góry. Jeszcze wyższe. Potem jeszcze tajga, tundra. I niewyobrażalnie już daleko – Kamczatka z wulkanami i gejzerami. Rosja – nie kraj, ale cały kontynent i cywilizacja – wciąga i wabi urokami, których nawet wyliczyć nie sposób... Skoro jednak mowa o rzekach. To nie tylko piękno i moc przyrody, ogromne hydroelektrownie, szlaki transportowe, którymi na pokładzie parostatków można pływać od Morza Białego do Czarnego i Kaspijskiego. To także smaki Rosji. Taka Wołga np. to jesiotr. I albo szaszłyk z tej niezwykłej ryby, albo carska ucha, którą podają w nadrzecznych restauracjach w Niżnym Nowogrodzie.

No i znowu wdepnąłem. Bo ucha to cała wielka opowieść, której w sporej książce nie zmieścisz. Jednej uchy nie ma. Każdy Rosjanin ma swój przepis na tę zupę rybną jak Polak – na bigos. A carską gotują z filetów jesiotra, łososia, halibuta, marchwi, cebuli, oliwek i jeszcze z dodatkiem czystej wódki.

Jednak nie ta zupa jest najbogatsza. Bo ustępuje patriarszej – z grzbietu jesiotra ugotowanego w czystym bulionie, w którym wcześniej warzył się kapłon, potem kilka rodzajów białej, a później czerwonej ryby. No, takie kulinarne rokoko i rozpasanie.

WACŁAW RADZIWINOWICZ





Nizny Nowogród – to tu łączą się Wolga i Oka

Ale wyjdźmy z uchy i z Wołgi przenieśmy się do ujść północnych rzek. Do innego smaku Rosji – do stroganiny. Przepis na nią jest prosty. Zrobić ją może każdy. Nawet ten, co pojęcia o kuchni nie ma wcale. Potrzebna jest tylko spora lodówka – mniej więcej wielkości Syberii.

W czasie kiedy trzyma mróz co najmniej 20-stopniowy, wyciągnięte z przerebli na Jenisieju czy Lenie nelmy, muksuny, omule rzuca się po prostu na lód. I już prawie gotowe. Ryba poddana „szokowemu” mrożeniu w mgnieniu oka staje się jadalna. Sztuka tylko w tym, żeby do momentu podania utrzymać ją w temperaturze nie wyższej niż minus 18. Tuż przed tym, jak trafi na stół, zamrożoną wciąż na kość rybę struga się ostrym nożem na wióry. Potem tylko trochę soli, pieprzu i północne niebo w gębie.

Żeby posmakować stroganiny, warto, ale nie trzeba koniecznie, jechać na daleką północ. Kusi nią, choć droga, ale bardzo popularna moskiewska restauracja Ekspedycja, która w ogóle specjalizuje się w łosiach, reniferach, głuszcach i innych przysmakach północnych. A poddane „szokowemu” mrożeniu ryby trafiają do niej na pokładach samolotów wojskowych przylatujących z arktycznych baz. Wojskowym nie wolno brać takich ładunków. Jednak Rosjanie przecież po mistrzowsku opanowali sztukę „nie wolno, ale można”. O tym zresztą też można by długo.

A SKORO STROGANINA, TO CZAS I COŚ WYPIĆ. Ale tu stop – nie będzie o „uchodzeniu w zapoj”, czyli picu na umór, z którym światu kojarzą się Rosjanie.



Park Narodowy Leńskie Stupy nad Leną w Jakucji na Syberii

Bo picie w Rosji nie jest nauką łatwą ani małą. Po nią warto pojechać czy popłynąć choćby do ślicznego nadwożańskiego Uglicza. To bardzo stare, pełne pamiątek i małych muzeów (np. lalek, życia więziennego, a nawet myszy w sąsiednim Myszkynie) miasteczko położone około 150 km od Moskwy jest ważne i w historii Polski. To tutaj zamordowano Dymitra, ostatniego syna cara Iwana Groźnego. Od tego zaczął się kryzys dynastyczny w Rosji: interwencja Polaków, zajęcie przez nich Kremla i sadzanie tam na tronie Dymitrow Samozwańców. Ale nie zagłębiajmy się, bo znowu ugrzęźniemy w wielkim temacie.

Trafiłiśmy przecież do Uglicza po naukę, więc pora zajrzeć do kieliszka. Bo tu założyli pierwsze muzeum-bibliotekę rosyjskiej wódki. Powstało w tym miejscu nieprzypadkowo. Z Uglicza pochodził przecież Piotr Smirnow, dostawca domu carskiego, zaopatrujący dwór w swojego wyrobu „białą”, jak Rosjanie nazywają czystą.

W muzeum gromadzą i pokazują wszystko, co wytwarza przemysł spirytusowy w całym kraju. I nalewają gościom (dwie czterdziestki w cenie biletu, ale dokupić można). Przede wszystkim jednak uczą, co z nalany zgodnie ze starymi zasadami robić należy. A więc nie „załpom” (salwą), czyli haustem, tylko z namaszczeniem, małymi łydkami. Nie więcej niż 120 gramów dziennie. A zakąsać rosyjską wódkę należy tylko kiszonym ogórkiem i czarnym chlebem. Chleba, wbrew temu, co się u nas utarło, Rosjanin po wódce nie wacha, tylko ze smakiem żuje.

CHLEB. „CHLEBUSZEK” – TAK GO CZĘSTO PIESZCZOTLIWIE NAZYWAJĄ.

Bo go przez wieki brakowało, a teraz szanują. I umieją wypiekać chleb jak nikt inny. On się w Rosji zachował nie jako dodatek, podstawa do kanapki, ale sam w sobie jako smaczne, sycące danie. Taki jest choćby chleb borodiński – legenda o miłości, wojnie, śmierci i wierności. Przepis na ten „chlebuszek” pochodzi z piekarni spaso-borodińskiego klasztoru żeńskiego, który założyła na polu bitwy z Napoleonem pod Borodino Margarita Tuczkowa. Kobieta straciła w starciu Rosjan z Wielką Armią męża, a potem przez całe życie bezskutecznie próbowała odnaleźć jego rozszarpane francuskimi kartaczami ciało. W czasie tych poszukiwań od starego weterana usłyszała, że na szanach, których bronił jej mąż, kula armatnia trafiła w jaszcz i zmieszała położone na nim żytnią mąkę i kolendrę, a potem żołnierze z tego zrobili smaczne podplomyki. Margarita w swoim klasztorze kazała wyrobić z takiej mieszanki ciasto na chleb, którym do dziś karmi Rosjan nie tylko klasztor na polu bitwy, lecz także piekarnie w całym kraju. Borodiński to także chleb rytualny. Kiedy Rosjanie żegnają zmarłego na stypie, stawiają przed jego fotografią szklanę wódki przykrytą kromką.

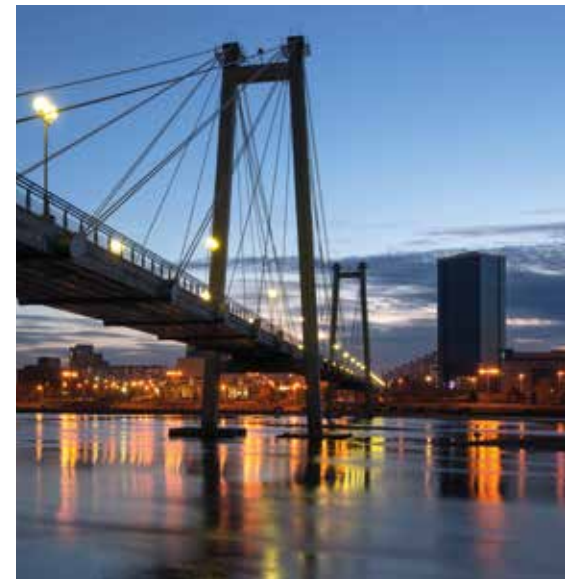
Z moskiewskiego Dworca Białoruskiego do Borodino jedzie się kolejką elektryczną dwie godziny. A jechać naprawdę warto. Choćby dlatego, że tu doszło do największej bitwy XIX stulecia, w której uczestniczyli Polacy. To właśnie w tym miejscu walczyli bohaterowie „Pana Tadeusza”, którzy z cesarzem Francuzów poszli na wschód. Pod Borodino na reducie szewardińskiej stracił nogę generał Józef Sowiński, który potem w powstaniu listopadowym bronił przed Rosjanami okopów Woli. Szkoda tylko, że nie ma tu żadnego pomnika czy innego znaku, który by przypominał o tym, że w 1812 roku Napoleon na Moskwę prowadził 75 tys. polskich żołnierzy. Chociaż nie. Raz w roku na początku września, w rocznicę bitwy, odbywa się na polach Borodina potężna rekonstrukcja batalii, a w niej występują także Rosjanie, właściciele podmoskiewskich stadnin, przebrani w mundury polskich ułanów. Wcielają się akurat w naszych rodaków, ponieważ – jak tłumaczą – nikt inny nie dbał o konie tak jak Polacy.

I jeszcze jedna historia borodińska. Tu specjalna wystawa przypomina o tym, jak skrupulatnie temu miejscu przyglądał się, pisząc swoją „Wojnę i pokój”, Lew Tołstoj. Tygodniami szukał świadków bitwy, włóczył się po okolicy, wypytywał, gdzie był okop, gdzie rośło drzewo. Wszystko notował, robił szkice, mapy. Temu, co potem napisał, można wierzyć.

W Rosji warto pójść śladem pisarza. Z Moskwy (z Dworca Kurskiego) w dwie godziny dojeżdża się „łastoczką” (jaskółką, szybką kolejką) do Tuły, a stąd choćby taksówką za grosze do Jasnej Polany, wiejskiej siedziby hrabiów Tołstojów. To miejsce nie tylko nazywa się miło, lecz jeszcze rzeczywiście jest „jasne”, pełne słońca.



Jasna Polana – niegdyś wiejska siedziba Tołstojów, dziś muzeum pisarza



Widok na most na Jeniseju i biznesową dzielnicę Krasnojarska

W samej Moskwie pisarz też miał siedzibę, dziś zamienioną w takie „niemuzeum”, bo to po prostu zachowany z najdrobniejszych szczegółami dom rodzinny zamożnych Rosjan z końca XIX stulecia, z atmosferą codziennych zajęć, wspólnych obiadów, spotkań z przyjaciółmi. Tutaj tak samo jak w Jasnej Polanie gość przenosi się w epokę, kiedy Rosja miała swoich największych twórców, uczonych.

ROZUMIEM, ŻE TEN, KTO ODWIEDZA STOLICĘ, MUSI TRAFIĆ TAM, GDZIE NAKAZUJĄ MU IŚĆ PRZEWODNIKI – choćby do kremlowskiego skarbca (tzw. Ałmaznyj Fond) czy zbrojowni (Orużejna Pałata). Mną jednak nie bardzo wstrząsnął widok wiadra diamentów. Może to i prawdziwe kamienie, ale w takim nagromadzeniu wyglądają bardziej jak potłuczona



Cerkiew św. Dymitra
w nadwołżańskim Ugliczu



Panorama Niżnego Nowogrodu z cerkwią Stroganowa i Oką



Pietropawłowsk Kamczacki i trzy wulkany: Koriacka Sopka, Awaczyńska Sopka, Wulkan Kozielewski

szyba samochodowa. Wielki Trójkąt, 36-kilogramowy złoty samorodek, też nie robi oszałamiającego wrażenia. A takie cacka pokazują w skarbcu właśnie po to, by powalać na kolana przed potęgą i bogactwem imperium.

„Białokamienna”, jak Rosjanie lubią nazywać swoją stolicę, przed gościem tak naprawdę odkrywa się inaczej. Jej trzeba się dać uwieść i wciągnąć.

Bardzo lubiłem w Moskwie, kiedy jeszcze miałem prawo tam przebywać, wybrać się gdzieś na ślepo, w miejsce, które akurat przyszło mi do głowy. I choć mieszałem tam wiele lat, zawsze trafiałem na coś nowego, fascynującego.

Idziesz po zakurzonej, zawsze tłocznej i hałaśliwej ulicy Pietrowka w samym centrum i dla kaprysu skręcasz w otwartą bramę klasztoru wysoko-pietrowskiego. A tam od razu inny świat. Ogród, błogosławiona cisza, tłuste, leniwe koty wygrzewają się na słońcu.

W tak samo tętniącej gorączkowym wielkomiejskim życiem dzielnicy Rogożska Jamska Słoboda ulokowali się starowierzy, wyznawcy tradycyjnego, bardziej surowego prawosławia. W ciszy pięknie utrzymanego parku przechadzają się długobrodzi, poważni mężczyźni i kobiety w długich spódnicach i chustkach. A i „trapeznaja”, czyli klaszorna stołówka, trzyma się przepisów starodawnej kuchni rosyjskiej. Znaczący zapewniają, że Rosja swojej tradycji gotowania nie ma, bo wszystko, co podaje, wzięła od obcych. U starowierów można się przekonać, że to kłamstwo. Całkiem blisko centrum w pobliżu węzłowej stacji metra Prospekt Mira stoi ogromny meczet, a na jego podwórku bogaty wschodni bazar. To tak, jakbyś się znalazł w Stambule. Ale to Moskwa, największe w Europie skupisko wyznawców islamu. Pod stolicą, w Gorkach Lenińskich, mają coś dla wyznawców innego kultu – monumentalne muzeum, a bardziej świątynię Włodzimierza Lenina, który tu zmarł i wciąż leży w mauzoleum

na placu Czerwonym. Dziś mało kto zagląda do Gorek poza turystami z Chin, którzy wciąż darzą wodza bolszewików nabożnym szacunkiem.

Są jeszcze w Moskwie niesamowite małe muzea – choćby wody, ognia, wódki też. I waleńków. Tu pięknie opowiadają, jak te wojłokowe ni to buty, ni to kapcie nie dały Hitlerowi zdobyć Moskwy. Bo żołnierze dywizji syberyjskich, których Stalin w rekordowo mroźną zimę 1941–1942 roku ściągnął na odsiecz stolicy, byli obuci właśnie w waleńki. I nawet kiedy temperatura spadała poniżej minus 40 stopni, nocując w śniegach pod gołym niebem, nie odmrażali sobie nóg. A Niemcy owszem.

JEST JESZCZE NOWA, BARDZO EUROPEJSKA MOSKWA.

Żeby się o tym przekonać, wystarczy wpaść do któregoś ze stołecznych – nowocześnie, z wielkim smakiem urządzonych – parków, takich jak Carycyno czy Park Kultury, znany ze słynnego filmu jako Park Gorkiego. Tam zawsze, jeśli pogoda sprzyja, są tłumy hipsterskiej, swobodnej młodzieży. Wygląda to jak Amsterdam czy Londyn.

O samej Moskwie można by jeszcze długo, długo. Choćby o teatrach, metrze, stalinowskich drapaczach chmur. Włączając się po mieście bardziej, niż podziwiając błyskotki z Kremla, przekonujesz się, że to stolica potężnego imperium, która wciągnęła w siebie kulturę, kolory, smaki i zapachy Europy, Azji, Wschodu, Północy. I teraz tym wszystkim czaruje.

A co tu mówić o całej Rosji.

Warto się dać jej wciągnąć. Bo ona nie powinna być celem wycieczki kilkudniowej, lecz może się stać przygodą na całe życie. Chociaż i życia nie starczy.



Rezydencja carycy
Katarzyny Wielkiej
w moskiewskim
parku Carycyno



**WACŁAW
RADZIWINOWICZ**
DZIENNIKARZ
PRASOWY, PUBLICYSTA,
REPORTAŻYSTA

Wieloletni korespondent w Rosji.

W grudniu 2015 roku cofnięto mu akredytację dziennikarską i zmuszono do wyjazdu z Rosji. Autor książek „Gogol w czasach Google’a. Korespondencje z Rosji 1998–2012”, „Soczi. Igrzyska Putina”, „Crème de la Kreml. 172 opowieści o Rosji”. Pierwsza z nich była nominowana do Nagrody Literackiej Nike 2014. Laureat Nagrody im. Dariusza Fikusa.

Sport to zdrowie... z kartą FIT Plus

Sylwetka i kondycja fizyczna są tym, o co troszczymy się zwłaszcza przed wakacjami. Jednak coraz częściej o dobrą formę zaczynamy dbać nie tylko okazjonalnie czy od zrywu do zrywu. Aktywność ruchowa staje się dla wielu z nas obowiązkowym punktem codziennego harmonogramu.

TEKST: ALEKSANDRA MAŚLANY
FOTO: SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PZU

Niemal połowa Polaków uprawia sport – wynika z badania GUS „Uczestnictwo w sporcie i rekreacji ruchowej w 2016 roku”. W dodatku z roku na rok entuzjastów ruchu w naszym kraju przybywa.

Z MYŚLĄ O TYCH WSZYSTKICH, KTÓRZY WIEDZĄ, JAK WAŻNĄ ROLĘ W PROFILAKTYCE ZDROWOTNEJ ODGRYWA SPORT, PZU Zdrowie we współpracy z siecią klubów Calypso Fitness stworzyło kartę FIT Plus. Łączy ona zalety karnetu sportowego i abonamentu medycznego. Dzięki tej karcie klient może korzystać bez limitów zarówno

z pełnej oferty klubów Calypso Fitness – włączając w to opiekę trenera i diagnostykę treningową – jak i usług medycznych PZU Zdrowie.

– Aby upewnić się, że planowana aktywność fizyczna będzie bezpieczna i nie pogorszy stanu naszego zdrowia, warto skonsultować się z lekarzem, który w zależności od wieku, ewentualnych dolegliwości i historii chorób w rodzinie może zlecić dodatkowe badania, np. EKG. Często to zalecenie jest bagatelizowane, a istnieje jednak grupa chorób (szczególnie dotyczących układu sercowo-naczyniowego), które mogą nie dawać żadnych objawów przy niskiej aktywności, lecz ujawnić się dopiero przy większym obciążeniu fizycznym – podkreśla dr n. med. Paweł Ambroziak, specjalista medycyny sportowej, ortopedii i traumatologii narządu ruchu z Centrum Medycznego Gamma (PZU Zdrowie).



WŁAŚCICIEL KARTY FIT PLUS OTRZYMUJE NIELIMITOWANY DOSTĘP DO WIELU LEKARZY SPECJALISTÓW: internisty, chirurga, kardiologa, ortopedy, reumatologa i ginekologa. Może również skorzystać z zabiegów ambulatoryjnych i badań diagnostycznych – laboratoryjnych, czynnościowych, USG i RTG. Do dyspozycji klienta jest ponad 2000 placówek w ponad 500 miastach w Polsce. Wizyta u internisty odbywa się maksymalnie w ciągu 2 dni roboczych, a u specjalisty – nie później niż w 5 dni. Zagwarantowanie klientom tak krótkich terminów oczekiwania jest dla PZU priorytetem – szczególnie w dobie coraz większego zapotrzebowania na opiekę medyczną przy utrzymującym się spadku liczby personelu medycznego.

Dodatkową korzyścią, jaką mają właściciele karty FIT Plus, jest możliwość skorzystania z pomocy concierge. Okaże się ona nieoceniona w wielu sytuacjach, zarówno tych codziennych, jak i nietypowych: gdy trzeba będzie umówić fachowca (np. hydraulika, elektryka), zorganizować podróż służbową, zarezerwować bilety do kina, teatru, na imprezy kulturalne i sportowe albo dowiedzieć się, co zrobić, gdy zgubi się dokumenty. Kartę FIT Plus można kupić w Calypso Fitness Club – na jego stronie przez internet lub w recepcji każdego klubu.

Siła konfliktu

Konflikty jako takie nie są problemem, lecz siłą napędową. Mogą się nim jednak stać przez sposób, w jaki są zarządzane. Tak jest i w życiu, i w firmie – przekonuje Wojciech Haman, trener i coach.

ROZMAWIAŁA: ADELA PROCHYRA
FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

A.P.: Ludzie często boją się konfliktów. Pan obserwuje je od lat i pewnie widzi w nich jakiś potencjał?

W.H.: Widzę znacznie więcej niż tylko potencjał. Konflikt jest istotą posuwania spraw do przodu. Gdy pisaliśmy z moim przyjacielem Jerzym Gutem pierwszą książkę, zatytułowaliśmy ją „Docenić konflikt”. Chcieliśmy pokazać, że problemem nie są konflikty, ponieważ one stanowią siłę napędową i są naturalnie wpisane w każdą organizację. Problemem jest sposób ich regulacji, zarządzania nimi. Kiedyś tę książkę przeczytała moja żona, z której zdaniem się bardzo liczę. I powiedziała mi: „Jeśli musiałeś napisać aż 160 stron o konflikcie, to znaczy, że się na tym nie znasz”. Ja się oczywiście najpierw wkurzyłem, a potem przyznałem jej rację. Przyszedłem do niej następnego dnia z zapisaną do połowy kartką. I mówię: „To jest wszystko, co wiem o konfliktach”.

A.P.: Co tam było napisane?

W.H.: 8–10 proścułkich, choć trudnych do zastosowania zasad. Zawsze gdy przychodzę do jakiegoś zespołu, mówię: „Ludzie,

w Polsce, jeśli macie w tym interes, wystarczy nie robić paru rzeczy, a kilka robić i na pewno się dogadacie”. To są te zasady.

A.P.: Dlaczego wyszczególnił Pan Polskę? Te zasady nie są uniwersalne?

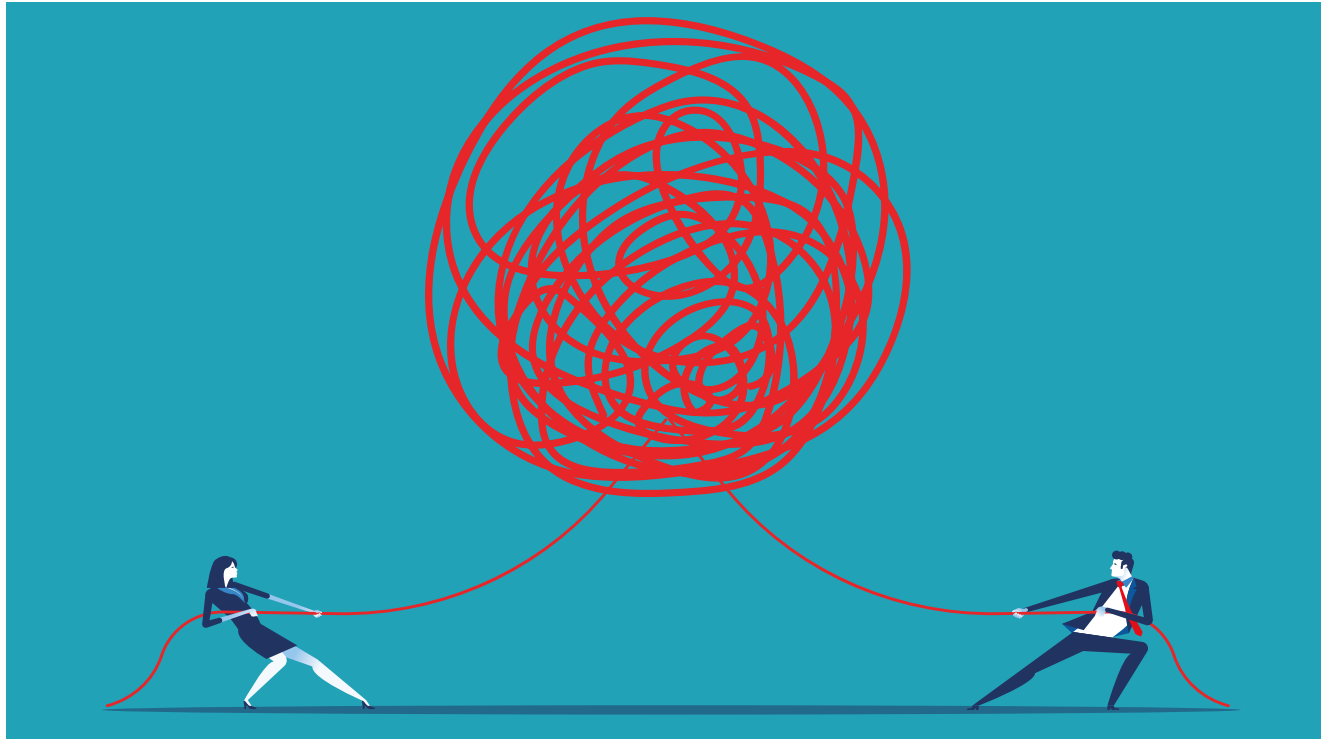
W.H.: Polacy mają problem ze współpracą i z konfliktami. Wynika on nie tylko z ogólnych, lecz także specyficznych powodów. Chodzi o tzw. metaprogram na „ja”, który u Polaków rozwinął się poza skalą. „Ja wiem najlepiej”, „Ja będę decydował”, „Nikt mi nie będzie mówił, jak mam robić”. Moja siostra przez wiele lat była dyrektorem ogromnego instytutu na Florydzie. Nauczyła się tam, by się nie odzywać, kiedy jej pracownicy mieli problem i zaczynali z sobą o nim dyskutować. Mimo że – jak to Polka – od razu wiedziała, co trzeba zrobić. A oni rozmawiali: sięgali po argumenty, wskaźniki i dogadywali się. Mieli często kiepskie pomysły, ale zaletą było to, że wszyscy to akceptowali.

A.P.: W Polsce jest inaczej?

W.H.: My, Polacy, jesteśmy odporni na argumenty. Nie czytamy instrukcji obsługi, nie przestrzegamy przepisów, nienawidzimy procedur, bo nasz metaprogram na „ja” się buntuje. Mówi: „Ma być tak, jak ja chcę”. W chwili konfliktu powoduje to poważne skutki.



Wiele konfliktów bierze się stąd, że wyobrażamy sobie motywację drugiej strony.



A.P.: Da się coś z tym zrobić?

W.H.: Jeśli miałbym wskazać jedną rzecz, dzięki której moglibyśmy się zacząć w Polsce porozumiewać – oczywiście nie w polityce, bo tu konflikt jest w interesie wszystkich stron, ale w biznesie, środowiskach lokalnych, szkołach, być może także w rodzinach – byłoby to zrozumienie, że nie dogadamy się na poziomie argumentów. Musimy zejść nieco niżej.

A.P.: Czyli gdzie?

W.H.: Ja to nazywam poziomem minus dwa. Poziom zero to stanowiska, minus jeden – argumenty, a minus dwa – emocjonalne potrzeby, które stoją za naszymi działaniami.

A.P.: Jak osiągnąć ten poziom?

W.H.: Pytając: „Dlaczego ci na tym zależy?”, „Co chcesz osiągnąć?”, „Przed czym chcesz się zabezpieczyć?”. Oczywiście trzeba to czynić rozsądnie, czyli wytłumaczyć, co się z tą wiedzą robi. Bo jeśli użyje się jej jako argumentu przeciwko rozmówcy, to nie ma mowy o porozumieniu. W biznesie i organizacjach ten poziom jest łatwo osiągnąć, tylko nikt nie zadaje takich pytań. Ale jeśli już je stawia, to ludzie przestają walczyć i projektować.

A.P.: Projektować?

W.H.: Mnóstwo konfliktów bierze się stąd, że wyobrażamy sobie motywację drugiej strony. Ja kogoś o coś proszę, on mi

mówi „nie”, więc zaczynam sobie myśleć: „Świnia, nie lubi mnie, wredny charakter”. No i gdy się odpowiednio rozgrzejemy, mamy przed sobą dywersanta, bandytę. Bo tak zaczynamy traktować swojego rozmówcę. Te projekcje są bardzo groźne. Zawsze kiedy pomagam porozumieć się ludziom, którzy są skonfliktowani, to wiem, że czeka mnie dużo pracy. Muszę doprowadzić do tego, by zrozumieli, co było prawdziwą przyczyną działania drugiej strony, a nie powodem, który oni sami sobie wymyślili.

A.P.: Mówił Pan, że w biznesie prawdziwe motywy są jasne.

W.H.: Jeżeli np. pytam ludzi z marketingu: „Czego chcecie od sprzedaży?”, to oni bez trudu odpowiadają – że chcą ochronić swój czas, relacje z klientami itd. Podam taki przykład – dyrektorzy regionalni w firmie ubezpieczeniowej proszą prezesa, by dał im większą swobodę decydowania o produktach, które sprzedają. A on mówi „nie”. Więc oni zaczynają przytaczać argumenty. Mówią, że wschód Polski ma się tak do zachodu jak Gabon do Szwajcarii, że trzeba dostosowywać produkty do regionu. On to wszystko rozumie, lecz nadal się nie zgadza. Ja proszę więc: „Powiedźcie jeszcze raz, o co chodzi, dlaczego wam zależy na tej swobodzie”. W odpowiedzi słyszę: „Mamy różne regiony i różnych rolników. Jeśli będziemy mogli się do nich dostosowywać, jeśli nikt nie będzie nas zmuszał do sprzedawania produktów innych, niż oni potrzebują, to osiągniemy swoje cele sprzedażowe. W dodatku nie będziemy wkurzać klientów, a oni się poczują

zaopiekowani”. Na to prezes uśmiecha się i mówi: „Przecież ja to wiem. I wiem, że jeśli zostawię wam w tej dziedzinie swobodę, to przez najbliższe dwa lata będziecie osiągać wszystkie cele, a firma będzie się rozwijać. Tyle że za trzy lata mnie już tu nie będzie, ponieważ najtrudniej się sprzedaje nowe produkty. A jeżeli nie będziemy ich wprowadzać, to przegramy z konkurencją”. I nagle się okazuje, że chodzi o coś zupełnie innego. Wcale nie o to, czy oni będą mieli wolność, czy nie, tylko o ich potrzeby.

A.P.: No i mamy sprzeczne stanowiska.

W.H.: Ale na poziomie interesów nie ma tu sprzeczności! Przecież temu prezesowi zależy, by produkty firmy się sprzedawały i by klienci byli zadowoleni. A pracownicy chcą, żeby co dwa lata nie zmieniał się prezes, a już na pewno, by przedsiębiorstwo po trzech latach nie padło, bo konsekwencje poniosą wszyscy.

A.P.: I Pana rola polega na tym, by obu stronom konfliktu uzmysłować, że mają wspólne interesy?

W.H.: To jest najprzyjemniejszy moment, kiedy mówią: „O rany! My nie mamy sprzecznych interesów. Nas różni stanowiska. Interesy mamy te same. Wszystkim nam zależy na dobrym przepływie informacji, na bezpieczeństwie, na wzajemnym zaufaniu. Tylko zamiast o tym rozmawiać, nawalaliśmy się i wyobrażaliśmy sobie, że inni są złośliwymi małpami”.

A.P.: Czy potrafi Pan przywołać takie konflikty, w które najlepiej w ogóle nie wchodzić?

W.H.: To moment, w którym ludzie przekraczają swoją granicę godności. Po co małżeństwa tną meble na pół albo drą ubrania? Przecież to się nikomu nie opłaca. To jest taki stan, w którym jestem gotów na wszystko, byle tylko ten drugi nie miał swojej części satysfakcji, byle tylko czuł się całkowicie przegrany, chociażby miało mi się to nie opłacać. Taki konflikt jest nierozwiązywalny. Jeżeli ludzie wejdą na ten poziom, jeżeli walczyć nie o sprawę, lecz o godność, to nie ma mowy o porozumieniu.

A.P.: Cofnijmy się o krok. W książce „Docenić konflikt” napisali Panowie, że walka to pułapka. Dlaczego?

W.H.: A czy widziała pani wojnę, którą ktoś wygrał? Jeżeli nawet jedna strona już po konflikcie jest przekonana, że wygrała wszystko, a druga przeciwnie – że musiała ustąpić i nic nie zyskała, to tak naprawdę przegrały obie. Chyba że była to jednorazowa transakcja jak na giełdzie w Słomczynie, gdzie pani od razu zniknie i nigdy już nie zobaczy ani tego samochodu, ani osoby, która go kupiła. Przy kolejnym kontakcie – to może być za rok albo za trzy lata – przegrany na pewno wyrówna rachunki. Zawsze kiedy pani z kimś wygra, ale musi się z nim wcześniej czy później spotkać – ponieważ to jest współpracownik, szef, podwładny albo partner – to na pewno bilans wyjdzie na zero. Dlatego nie opłaca się iść na wojnę i wygrywać. To się zawsze kończy tragicznie.



WOJCIECH HAMAN
TRENER, COACH

Założyciel i współwłaściciel firmy szkoleniowej Kontrakt OSH.

Z wykształcenia psycholog. 12 lat pracował jako terapeuta i trener psychologiczny, m.in. w OTiRO, Polskim Towarzystwie Psychologicznym i Laboratorium Psychoedukacji. Od 1991 roku w ramach Ośrodka Negocjacji Kontrakt, a później Grupy Szkoleniowej Kontrakt OSH przeprowadził ponad 1000 warsztatów szkoleniowych dla zarządów, kadry kierowniczej i handlowców wielu firm. Specjalizuje się w szkoleniach z umiejętności menedżerskich i rozwiązywania konfliktów wewnątrz firm, a także we wdrażaniu w nich coachingu. Stały konsultant kilkunastu przedsiębiorstw. Współautor (z Jerzym Gutem) książek „Docenić konflikt”, „Handlowanie to gra”, „Psychologia szefa”, „Coaching narzędziowy”.

Kto zarabia na koronie?

The Royal Soap Opera dostarcza Brytyjczykom nie tylko emocji. Przynosi też gospodarce ich kraju, a więc i im samym, wymierne korzyści. Niedawny ślub księcia Harry'ego i Meghan wzbogacił kraj o ponad miliard dolarów. Monarchia to wielkie narodowe dobro. I wielki biznes.

TEKST: AGNIESZKA PIASKOWSKA

FOTO: SHUTTERSTOCK, REX SHUTTERSTOCK/EAST NEWS, POLARIS/EAST NEWS, PHOTOSHOT/REPORTER

W dniu ślubu księcia Harry'ego i Meghan Markle w brytyjskich szkołach frekwencja dopisała jak nigdy. Uczniowie stawili się na galowo (dziewczynki w tiulowych spódnicach i lakierowanych pantofelkach, chłopcy w spodniach na kancik i aksamitką pod szyją) na przyjęciach, które wspólnie zorganizowali dyrekcja, nauczyciele i rodzice. Tym ostatnim nie przyszło do głowy, aby zostawić swoje książęta i księżniczki w domach. Presja otoczenia była tak wielka, a atmosfera tak wzniosła, że nawet rodziny imigrantów dopasowały domowy grafik do programu uroczystości na zamku Windsor.

SOBOTA 19 MAJA 2018 ROKU BYŁA USTAWOWO WOLNA OD ZAJĘĆ I PRACY. Dzień stracony dla bry-

tyjskiego przemysłu (6–7 mld funtów na minusie), ale za to dochodowy dla innych sektorów. I to ze sporą „górką”. Firma doradcza Brand Finance obliczyła, że ślub księcia Harry'ego i Meghan Markle wzbogacił kraj o 1,3 mld dol., z czego 400 mln przywieźli z sobą turyści. Według portalu npr.org na same magnesy na lodówkę z wizerunkiem młodej pary, kubki i flagi z nadrukowanym zdjęciem bohaterów dnia wydano 67 mln dolarów!

OKOŁO 68 PROC. OBYWATELI WIELKIEJ BRYTANII NALEŻY DO WIELBICIELI RODZINY KRÓLEWSKIEJ. I jak wynika z badań ośrodka YouGov z 2015 roku, niemal wszyscy z tej grupy wierzą, że ich kraj za 100 lat wciąż będzie monarchią. Wśród fanów The Royal Family znajdują się reprezentanci antagonistycznych partii, różnych wyznań i orientacji seksualnych, tradycjoniści i reformatorzy, bogaci i biedni, młodzi i starzy.

Utrzymanie dworu kosztuje Brytyjczyków 42,8 mln funtów rocznie (dane z lat 2016–2017). Oznacza to, że każdy z poddanych łoży na Windsorów 65 pensów (anglojęzyczne





tabloidy obliczyły, że to nieco mniej, niż wynosi cena najtańszego odtwarzacza MP3). W tym roku z okazji ślubu stawka się podwoiła, lecz w mediach nie było słyhać z tego powodu narzekania. Nie bez znaczenia jest fakt, że mówimy o jednym z najbogatszych krajów świata. Kraju, w którym w ostatnich latach dochód na mieszkańca wynosił ok. 30 tys. funtów. Obywatela Wielkiej Brytanii stać więc na to, by wydać równowartość dwóch najtańszych MP3. Tym bardziej że to nakręca gospodarkę lepiej niż wypowiedzenie wojny... Po oświadczeniach księcia Williama dziennikarze ekonomiczni podzielili się radosnym odkryciem – finansowanie Windsorów w ciągu roku budżetowego obciąża kieszenie podatników na Wyspach o kilka milionów mniej niż jedna operacja wojskowa w Libii. A to oznacza, że monarchia brytyjska nie jest tak droga, jaką nam się jawi w swym przepychu i blichtrze. I szalenie się opłaca. 1,144 mld funtów rocznie – tyle zarabia brytyjska gospodarka na koronie.

KRÓLOWA ELŻBIETA I JEJ NAJBLIŻSI SĄ NARODOWYM I EKONOMICZNYM DOBREM PRZEZ TO, ŻE... SĄ. Zdanie, które niegdyś wypowiedział jej ojciec, król Jerzy VI, nabiera dziś większej mocy: „Nie jesteśmy rodziną, tylko firmą”. Agencje marketingowe wyceniły brytyjską monarchię jako markę na 57 mld funtów. Ekspert od pozycjonowania brandu obliczył, że dzięki rodzinie królewskiej Wielka Brytania zarabia 160 mln funtów na eksporcie, szczególnie dóbr luksusowych. Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na popular-



ność królowej Elżbiety i jej krewnych w Chinach, dokąd trafiają najbardziej wymyślne gadzety z nadwornego sklepu Royal Collection. Zainteresowanie ofertą królewską u Chińczyków wzrosło zwłaszcza po państwowej wizycie prezydenta Xi Jinpinga w Londynie, która zapoczątkowała złotą erę w relacjach handlowych obu krajów. Na zniżki jednak Chiny nie mają co liczyć. Królewskie ceny są takie same dla wszystkich. Świeczka z inicjałami księcia Harry’ego i Meghan Markle z kolekcji ślubnej The Royal Family w oficjalnym królewskim sklepie internetowym kosztuje 35 funtów. Limitowana edycja dwóch filiżanek Royal Wedding Collection – 195 funtów. Miniaturowy szampan – 15,95 funtów. Krem do ciała dla niemowląt Royal Baby Organic Balm z tłoczonym na zimno olejkami jojoba, mango i masłem kakaowym (pojemność 50 ml) – 17,95 funtów. Ściereczka do naczyń sygnowana herbem z napisem „God Save the Queen” – 7,97 funtów. A męskie stringi z wizerunkiem królowej Elżbiety na tle flagi brytyjskiej (te do zdobycia już pod innym adresem) – 15 funtów. Dzięki zleceniom z pałacu Buckingham 850 brytyjskich marek rozwinęło swoją działalność, zdobyło sławę i zyskało na wartości rynkowej. Wśród nich są takie giganty jak



Fortnum & Masons, znany z wiklinowych koszy piknikowych, wypełnionych luksusowymi frykasami, czy Berry Bros. & Rudd – rodzinna firma, założona w 1968 roku, która od dwóch pokoleń zaopatruje dwór w wino, a przy okazji podbija kubki smakowe klientów w sześciu innych krajach.

ZGODNIE Z RAPORTEM VISITBRITAIN, BRYTYJSKIEJ ORGANIZACJI TURYSTYCZNEJ, wpływ z turystyki powiązanej z historią i dziedzictwem Wielkiej Brytanii wynoszą 4,6 mld funtów. A turystyka ta wspiera przy tym ponad 100 tys. miejsc pracy. Jedną z atrakcji, które przyciągają zagranicznych turystów, jest związana z monarchią. Najczęściej odwiedzane obiekty na Wyspach mają silne konksje z Windsorami: Tower Bridge – 2 mln zwiedzających rocznie, pałac Buckingham – 400 tys. odwiedzających w ciągu kilku tygodni, królewskie obserwatorium – 2,3 mln osób rocznie. Katedra św. Pawła, w której ślub brali następca tronu książę Karol i księżna Diana – 1,8 mln turystów zagranicznych. Opactwo westminsterskie, miejsce koronacji i pogrzebów rodziny królewskiej, odwiedza średnio na rok 1,4 mln osób. Najpopularniejszą pocztówką wśród przyjezdnych, zaraz po czerwonym piętrowym autobusie i kamiennym zamku na brzegu morza, jest kartka z wizerunkiem królowej Elżbiety II. Nawet motyw kultowych fish and chips i ciemnego piwa z pianką nie cieszy się takim wzięciem. Aż się prosi, by na widokówce z pozdrowieniami z zamku w Windsorze znalazł się tematyczny znaczek pocztowy. Na przykład ten z promienną buzią księcia George’a, syna księcia Williama i Kate, z serii, którą brytyjska poczta Royal Mail wyemitowała specjalnie, by uczcić 90. urodziny królowej Elżbiety II. Splendor The Royal Family generuje dochody linii lotniczych, taksówkarzy, hotelarzy, klubów golfowych, producentów

pamiątek, sklepikarzy, restauratorów. Ci ostatni przy okazji ważnych uroczystości na dworze wykazują się nadprzyrodzoną kreatywnością. Przykład? Na czas ślubu Harry’ego i Meghan menedżerowie pubów dodali do menu zestaw przekąsek, które książę przedstawił wybrance podczas „tasty tour of Britain” – wspomniane frytki i rybę smażoną w głębokim tłuszczu oraz pudding o smaku toffi.

ATRYBUTÓW KRÓLEWSKICH, TYCH Z WYŻSZEJ I NIŻSZEJ PÓŁKI, WYPATRUJĄ DOŚWIADCZENI KOLEKCJONERZY I KONESERZY. W 2010 roku na licytację w prestiżowym domu aukcyjnym Hansons Auctioneers and Valuers trafił wyjątkowy eksponat – oryginalne... majtki Elżbiety II, które w 1968 roku królowa zostawiła w prywatnym samolocie. Jedwab z koronką, wysoki stan (a jakże!), kolor écru. Cena wywoławcza: 8 tys. funtów. Ostatecznie majtki królowej jednak nie poszły pod młotek. Właściciel eksponatu, baron Joseph de Bicske Dobronyi, nie podzielał stanowiska domu aukcyjnego w sprawie utajnienia licytacji przed mediami. Hansons Auctioneers and Valuers obawiali się oburzenia monarchii i ludu. Baron za to chciał rozgłosu. Bielizna trafiła w końcu na eBay w cenie wyjściowej 4049 dolarów. Na aukcjach licytuje się również niepublikowane zdjęcia z prywatnych zbiorów. Wśród 60 archiwalnych fotografii, które dom aukcyjny Dominic Winter wycenił na 16 tys. funtów, znalazła się dokumentacja ze świątecznego przedstawienia w Royal School w grudniu 1941 roku. 15-letnia wówczas księżniczka Elżbieta zagrała w nim rolę... księcia Florizela. Zdjęcia należały do bliskiego przyjaciela królowej. Czy to możliwe, aby Elżbieta II nie wiedziała o drugim życiu jej bielizny czy odbitkach z pozowanej sesji zdjęciowej z elitarnego przedstawienia szkolnego? Czy baron Joseph (ten od majtek) i bliski przyjaciel dworu ryzykowaliby tym, że narażą się monarchii, wystawiając na sprzedaż osobiste pamiątki królowej? Wątpliwa sprawa. Elżbieta II trzyma rękę na pulsie i potrafi zająć stanowisko również w kwestiach z pozoru mało istotnych, co świetnie pokazali twórcy poświęconego jej biografii serialu „The Crown”. Brytyjska rodzina królewska niewątpliwie napędza decydujące dla gospodarki kraju struktury. Nie zapomina przy tym o niskich potrzebach narodu, zgodnie ze starożytną regułą „chleba i igrzysk”. The Royal Soap Opera dostarcza Brytyjczykom więcej emocji niż trasa koncertowa Adele. Miłosne skandale, dramatyczne zwroty akcji, happy endy, tragiczne wypadki... Dzielenie się z mediami prywatnym życiem to olbrzymia marketingowa operacja, konieczna dla takiej osobliwości, jaką jest rodzina królewska w kraju najstarszej demokracji świata. Pytanie, czy ślub księcia Harry’ego i Meghan Markle był królowej na rękę, nie ma większego sensu. Wystarczy, że był na rękę (i na kieszeń) Brytyjczykom.

Miasta przyszłości



Co łączy tak różne miejsca jak Bombaj, Singapur, Seul, Masdar, Kampala, Dubaj czy Kopenhagę? Wszystkie obiecują lepsze życie. I wszystkie odzwierciedlają miasto jutra. Bo przyszłość nie ma liczby pojedynczej, lecz mnogą – uważa Paulina Wilk, dziennikarka i reportażystka.

ROZMAWIAŁA: AGNIESZKA PIASKOWSKA

FOTO: ALBERT ZAWADA, SHUTTERSTOCK

A.P.: Według jakiego klucza wybierała Pani miasta do książki „Pojutrze. O miastach przyszłości”?

P.W.: Szukałam miast położonych w różnych częściach świata, mogących reprezentować ważne, intensywne tendencje, które zdefiniują przyszłość w wymiarze globalnym. Potrzebowałam do tej opowieści miast wielkich, jak Bombaj, sztucznych – jak Singapur, bezsennych – jak Seul, lecz także eksperymentalnych – jak technologiczny Masdar, budowane od zera i według detalicznego planu Songdo czy dążące do społecznej szczęśliwości Kopenhaga. Wybrałam też miasta, do których ludzie Igną. Miasta-totemy, które działają magnetyczną siłą na marzenia i pragnienia milionów. Takimi przykładami są Lima czy Kampala. Włączyłam również Dubaj, który w moim przekonaniu jest tworem postmiejskim i nie mieści się w tradycyjnych definicjach miasta czy państwa. Chciałam, by odzwierciedlały różne jutra. Bo przyszłość nie ma liczby pojedynczej, będzie ich wiele, jednoczesnych.

A.P.: Jakie możliwości dają ludziom metropolie? Czym nas uwodzą? Co oferują, a co chcą w zamian za „gościnę”?

P.W.: Wszystkie obiecują lepsze życie, możliwość bycia kimś innym. Kuszą na różne sposoby, ale chyba częściej rozczarowują, niż przynoszą spełnienie. Miasto jest jak niekończąca się opowieść – już po pierwszym zdaniu wciąga i nie daje odwrotu. Szczególnie tym, którzy aby się do niego dostać, sprzedają wszystko, co mieli. Może trudno w to uwierzyć, ale do wielkich miast wciąż przychodzi się pieszo, np. z indyjskich wiosek, z Amazonii.

A.P.: Podążają za marzeniami?

P.W.: Właśnie. Na chodniku, na górskim zboczu zjawiają się ludzie, którzy nie mają nic poza nadziejami, determinacją i świadomością, że wrócić nie mogą. Najpierw jest palenisko z trzech cegieł i foliowy dach albo namiot. Z takiego przyczółka można rozwinąć życie rodziny do piętrowego murowanego domu, a można na zawsze pozostać miejskim nomadą, który próbuje przytulić się do wielkomiejskiego cielska. Miasta nie są przyjazne wobec przybyszów. Przeciwnie – są ściśle regulowaną rzeczywistością, w której rządzą przepisy albo bezprawie, duży

Siła miast polega na bliskości innych: w stłoczeniu obecna jest nie tylko frustracja – ciągle ktoś nam przypomina, że można poprawiać swój los.



kapitał albo samowłańcze gangi. Nowi mieszkańcy muszą się błyskawicznie uczyć życia w na ogół wrogim środowisku. Siła miast polega na bliskości innych. W stłoczeniu, w sąsiedztwie są obecne nie tylko frustracje – ciągle ktoś nam przypomina, pokazuje, że można poprawiać swój los. Jak w mrowisku, nie ma miejsca na marazm, wszyscy są zapracowani budowaniem życia.

A.P.: Czym jest i jakie jest miasto XXI wieku?

P.W.: Wszystko wskazuje, że miasto XXI wieku jest olbrzymem: populacyjnym, przestrzennym, infrastrukturalnym. W Polsce tego nie czujemy. Mówimy raczej o wyludnianiu się miast, o wyprowadzkach na przedmieścia. Ale jesteśmy chyba w tym lokalnym trendzie cokolwiek spóźnieni wobec globalnego rytmu, który wydaje się zasysać energię miast średnich, a nawet dużych i kierować ją do megastruktur, takich jak powstające w chińskiej delcie Rzeki Perłowej megalopolis, złożone z dziesięciu metropolii i zamieszkałe przez ponad 100 milionów ludzi.

A.P.: Czy taki moloch ma „duszę”?

P.W.: Ma ich wiele – proces koncentracji populacji w miastach jest właściwie natychmiast kontrowany. W Bombaju każda dzielnica ma swój własny charakter. Właściwie dzieli się na różnorodne sąsiedztwa, które żyją w częściowej nieświadomości, jak wielki organizm współtworzą. Te nowe gigamiasta są za duże na ludzką głowę i wrażliwość, więc nadajemy

im mikrostruktury, całkiem zbliżone do wiejskich. Nie bałabym się więc odczłowieczenia wszędzie tam, gdzie ludzie – nawet bardzo ubodzy – mają możliwość współtworzenia miejskiego życia. Ta oddolna, niesterowana energia, złożona z pomysłowości, uporu, chęci, czasem brawury, a czasem desperacji, jest wspólnym, chyba niewyczerpywalnym potencjałem. Ludzie umieją wydobyć się z niemal każdej porażki i trudności. Ale są miasta, niestety liczne, gdzie nadmierna obecność wielkiego biznesu i kontrolującej władzy zabija tę vitalność. Ogromna, obliczona na przemysłową skalę infrastruktura – od Chin przez Emiraty – mówi człowiekowi: „Jesteś nieważny, a miasto nie jest twoim domem”. W miejscach, w których ważniejsze od małego, codziennego życia są betonowa autostrada albo centra logistyczne i konferencyjne, miasto pozostaje jedynie atrapą.

A.P.: Dziewięć gigantycznych miast, dziewięć wielkich życzeń. Czy spełnionych? „Pojutrze” to lektura dla odważnych marzycieli.

P.W.: „Pojutrze” przede wszystkim zderza odwagę marzycieli z rzeczywistością. Interesuje mnie to napięcie – między upragnionym i wymarzonym a tym, co się nam udaje. Miasto jako byt jest fantazją. Nie stanowi tworu naturalnego, zrodziło się z pragnienia „czegoś więcej”. Często myślę, że ludzie pozazdrościli naturze jej wyrafinowania, finezji. Stąd wieżowce, wymyślne struktury, podziemne sieci metra, wiszące mosty. Wszystko to piękne, ale natura przerasta nas po wielokroć swoim „wyczuciem równowagi”. Gatunek ludzki dawno zatracił właściwe proporcje, rozrastamy się nowotworowo – bez potrzeby, bez wystarczającego uzasadnienia. Są co prawda pierwsze objawy otrzeźwienia, które widać w filozofii zrównoważonego rozwoju, ale dziś wizjami rozwoju miast zawładnęła pragmatyka. Marzyciele są w mniejszości.

A.P.: Czy można stwierdzić, że wizja miasta przyszłości sprawdziłaby się jako koncepcja naprawy kraju?

P.W.: Można, ponieważ miasta są tworami, które zyskują w świecie większe znaczenie niż państwa. Myślę, że pewne ożywienie idei państwa narodowego jest reakcją na ten proces. Kraje i rządy lubią granice, miasta lubią i budują (na potęgę!) połączenia: infrastrukturalne, komunikacyjne, kulturowe i edukacyjne. Państwa się konfliktują, a miasta wymieniają się wiedzą, pożyczają od siebie. Prawdę mówiąc, uważam politykę narodową, państwową za pieśń przeszłości. Najciekawsze wydają mi się takie futurystyczne projekty jak Singapur czy Dubaj. To miejsca, które są ściśle kontrolowane, a więc dalekie od ideału, i oczywiście podporządkowane interesom krajów. A jednak ludzie różnych wyznań, religii, obyczajów odnajdują tu dość neutralną przestrzeń do realizacji siebie i relacji. Może warto przyglądać się tym rozwiązaniom, strategii, która łączy kontrolę z otwartością. Przed korporacjami, polityką, wielkim biznesem i ich wpływem na nasze życie czy kształt miast nie obroni nas żadna instytucja, żaden przedstawiciel. Jeśli zaczniemy sobie uświadamiać, że miasto jest nasze, to będziemy głośno o tym mówić. W Warszawie taki proces właśnie zachodzi – jej mieszkańcy zmieniają miasto i nie oglądają się na to, że stolica jest polem politycznej bitwy.

A.P.: W jaki sposób metropolia może być testem dla naszej wolności społecznej i osobistej?

P.W.: Jest nim na co dzień. Wystarczy rozejrzeć się i zobaczyć, jak traktujemy przestrzeń wspólną: trawniki, chodniki, ulice, place, studnie, schody ruchome, dworce czy windy. W Polsce widać gołym okiem skomplikowane dziedzictwo socjalizmu i wczesnego kapitalizmu. Cienimy i dbamy o to, co uznajemy za własne, prywatne. Ignorujemy i zaniedbujemy przestrzeń wspólną jako obcą i niczyją. Chodzę dużo po mieście z psem, mam mnóstwo okazji do obserwowania Warszawy i widzę marnie grodu: ogradzania kawałków trawy, odgradzania się od innych żywopłotami – to przykry, odpychający komunikat. Mówi: „Jesteś tu niechciany, odejdz”. Ale to oczywiście także obrona wobec tych, którzy bliską nam, lecz wspólną przestrzeń niszczą i brudzą, czym wpływają negatywnie na nasze życie.

A.P.: A co mówi nasze zamiłowanie do galerii handlowych?

P.W.: Zamiłowanie do centrów handlowych i szerzej – przestrzeni sprywatyzowanych, które udają, że są publiczne, tak jak różne „plazy” i „parki” przy galeriach handlowych – mówi ciekawą rzecz o naszej wolności. Lubimy tam siedzieć i na ogół nie zdajemy sprawy, że ta przestrzeń silnie na nas oddziałuje: jesteśmy grzeczni. W centrum handlowym nie wolno protestować, spać, jeździć na rolkach. Nie można być ani prawdziwie wolnym, ani tym bardziej zbuntowanym obywatelem. Można być tylko konsumentem, tymczasowym użytkownikiem. Są miasta, jak Kopenhaga, które maksymalizują strefę wolną.



PAULINA WILK
DZIENNIKARKA, PISARKA,
REPORTAŻYSTKA

Studiowała w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Pracowała w dziale kulturalnym „Super Expressu”, była dziennikarką „Rzeczpospolitej”. Współpracuje m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym”, miesięcznikiem „Kontynenty” i TVP Kultura.

Autorka książek (m.in.: „Lalki w ogniu. Opowieści z Indii”, „Między walizkami”, „Pojutrze. O miastach przyszłości”).

Takie jak Londyn, które za późno rozpoznały, że sprzedają swoje kluczowe przestrzenie prywatnym właścicielom. I takie jak nowe metropolie arabskie czy chińskie, które dopiero uczą się, jak kluczowe dla kształtowania tożsamości, chęci pozostania w danym mieście jest prawo i okazja do bycia pośród innych, w wolności.

A.P.: Jaka więc jest przyszłość miast przyszłości?

P.W.: Ja pokładam w miastach wielką nadzieję, ponieważ są jak nieustannie rozszerzający się wszechświat – wytrzymują liczne napięcia, uczą nas współistnienia z innymi, przypominają, że nie ma dokąd uciec, a jedyne życie jest tu. To, czy uczynimy z niego piekło, czy zaczniemy budować stabilne współistnienie, jest wyborem.

Szlachetna pasja

Jazda konna uchodzi w Polsce za elitarną i szlachetną dyscyplinę sportową zarówno wśród profesjonalistów, jak i amatorów. Nic dziwnego, że do grona jej entuzjastów dołącza coraz więcej biznesmenów, menedżerów i celebrytów.

TEKST: TOMASZ SIKORSKI
FOTO: SHUTTERSTOCK



W naszym kraju działa prawie 100 ośrodków certyfikowanych przez Polski Związek Jeździecki. I choć przybywa u nas osób, które uprawiają ten sport, to daleko nam jeszcze do wielu krajów Europy Zachodniej. Na ich tle wciąż wypadamy błodo.

– SZACUJE SIĘ, ŻE JEŹDZIECTWO W POLSCE UPRAWIA OK. 300 TYS. OSÓB.

Średnio połowa z nich robi to okazjonalnie. Dla porównania: w dwukrotnie większych od Polski Niemczech na koniach jeździ ok. 4,5 mln ludzi – mówi Łukasz Abgarowicz, były prezes Polskiego Związku Jeździeckiego. Powód? Przede wszystkim wysokie koszty utrzymania koni i wyposażenia koniecznego do uprawniania tej dyscypliny. Oczywiście trzeba w tym wypadku rozróżnić posiadanie własnego wierzchowca lub wręcz stadniny od korzystania z usług firm, które profesjonalnie zajmują się szkoleniem i opieką nad tymi zwierzętami. Od kilku lat osoby zaangażowane w polskie jeździectwo robią, co mogą, by zainteresować tą dyscypliną szersze grono. Dzieje się tak chociażby dzięki organizowanej regularnie Cavaliadzie, czyli zawodom w skokach przez przeszkody. Pojawia się na nich kilkanaście tysięcy kibiców, wśród których nie brakuje uprawiających ten sport celebrytów i biznesmenów. W Cavaliadzie startowała m.in. Karolina Ferenstein-Kraśko, żona znanego dziennikarza telewizyjnego Piotra Kraśki.

Co zrobić, by zacząć jeździć konno? Przede wszystkim warto zrobić najpierw dobre rozpoznanie, jeśli chodzi o funkcjonujące w danej okolicy ośrodki szkolenia. Najlepiej korzystać z tych certyfikowanych przez PZJ. Koszt godzinnej lekcji z instruktorem zaczyna się od 50 złotych.

Niewątpliwą zaletą tej dyscypliny jest to, że można ją zacząć uprawiać nawet w dojrzałym wieku. Tak jak Marek Kopras, wła-

ściel i prezes spółki Kopras, który ma na swoim koncie liczne trofea z amatorskich zawodów. Zdobył je, startując w skokach przez przeszkody i ujeżdżaniu. Pasją zaraził się w wieku 43 lat. – W mojej dyscyplinie o wszystkim decyduje przyjaźń i zaufanie między jeźdźcą a koniem. W naszym świecie mówi się, że serce zostawiamy za przeszkodą. Jeździectwo to jeden z nielicznych sportów, w którym decydują dwie głowy – tłumaczy Marek Kopras.

MENEDŻEROWIE I BIZNESMENI, KTÓRZY ZŁAPALI BAKCYLA ZWIĄZANEGO Z JEŹDZIECTWEM,

często decydują się na zakup i utrzymanie własnego konia, a niekiedy nawet całej stadniny. W Polsce miesięczny koszt umieszczenia wierzchowca w „hotelu”, czyli w stadninie, która oferuje opiekę nad obcymi zwierzętami, waha się od 350 zł do 2,5 tys. złotych. Wszystko zależy od zakresu usług oferowanych przez stadninę czy też rasy konia. A ile kosztuje sam koń? W tym wypadku rozpiętość jest ogromna, ponieważ na cenę wpływa wiele czynników. Mowa tu m.in. o: wieku wierzchowca, jego rasie czy osiągniętych sukcesach w różnego rodzaju zawodach. Jeśli myślimy o koniu rasowym, na którym można uprawiać jeździectwo, trzeba się liczyć z jednorazowym wydatkiem rzędu 15–25 tys. złotych. Oczywiście zupełnie inne kwoty obowiązują na aukcjach koni arabskich. W Polsce rekord należy do klaczy Pepity, sprzedanej w 2014 roku kupcowi ze Szwajcarii za 1,4 mln euro.

– Wszystko zależy od naszych potrzeb i możliwości. Jeśli nie możemy zapewnić koniowi odpowiedniej opieki albo chcemy jeździć tylko od czasu do czasu, to lepiej jest korzystać z wierzchowców, które są na wyposażeniu stadnin. Do tych zwierząt trzeba mieć wielkie serce, a wtedy i one potrafią odplacić człowiekowi tym samym – uważa Łukasz Abgarowicz.



Polacy kochają konie, ponieważ to bardzo mądre i przyjazne zwierzęta. A prowadzenie wierzchowca, z którym warto się wcześniej zaprzyjaźnić, może być naprawdę wielką frajdą – mówi Jacek Stryczyński, prezes zarządu firmy Lionbridge Poland, który od kilku lat uprawia jeździectwo.

ROZMAWIAŁ: TOMASZ SIKORSKI

FOTO: SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

T.S.: Jeździectwo jest chyba jednym z najmodniejszych sportów wśród polskich menedżerów, biznesmenów i celebrytów. A skąd wzięła się ta pasja u Pana?

J.S.: Kilka lat temu zabrałem córkę na padok i od tego momentu również zacząłem jeździć konno. Muszę jednak przyznać z ręką na sercu, że nie uważam się za wielkiego pasjonata ani znawcę tego sportu. Z powodu natłoku obowiązków dawno nie wsiadałem na konia. Ale faktycznie mam wielu kolegów menedżerów, którzy uwielbiają konie i jeżdżą regularnie.

Ja muszę posypać głowę popiołem, ponieważ ostatnio trochę to zaniedbałem.

T.S.: Jak ocenia Pan rozwój jeździectwa w Polsce i zainteresowanie tym sportem?

J.S.: Obserwuję sytuację trochę z boku i widzę, że jeździectwo staje się coraz popularniejszą formą spędzania wolnego czasu. Dzieje się tak chociażby dzięki licznym eventom, podczas których jest ono promowane. Najlepszym przykładem jest organizowana cyklicznie Cavaliada, którą sponsorują wielkie polskie firmy. Nie wiem, ilu menedżerów zarządzających tymi przedsiębiorstwami osobiście jeździ konno. Jednak już sam fakt, że spółki tej wielkości wspierają finansowo i organizacyjnie takie



*Koń musi czuć,
że człowiek mu ufa.
Wtedy odpłaca
jeźdźcowi tym samym.*

wydarzenia, jest dla polskiego jeździectwa i jego popularyzacji bardzo istotny. Polacy kochają konie, ponieważ to bardzo mądre i przyjazne zwierzęta. A prowadzenie wierzchowca, z którym warto się wcześniej zaprzyjaźnić, może być naprawdę wielką frajdą.

T.S.: Czy opierając się na swoim doświadczeniu zawodowym, może Pan stwierdzić, że i hodowla koni, i jeździectwo mogą być elementem dobrej strategii marketingowej?

J.S.: Co do hodowli to zarabia się przede wszystkim na sprzedaży wierzchowców. Jednak w tej dziedzinie nie jestem ekspertem. Tym bardziej że nie posiadam już własnego konia ani nigdy nie miałem swojej stadniny. Jeśli zaś chodzi o wydarzenia związane z jeździectwem – firmy bardzo chętnie włączają się w sponsoring tej dyscypliny, ponieważ budują w ten sposób swój pozytywny wizerunek. Konie budzą dobre skojarzenia – są odbierane jako piękne, dostojne zwierzęta. Podobnie jak jeździectwo, które jest sportem łączącym klasę i elegancję. I wielu odbiorcom może wydawać się dużo bliższe niż np. golf, który bywa postrzegany jako dyscyplina bardziej skomplikowana i zamknięta.

T.S.: Co poradziłby Pan tym, którym zamarzy się nauka jazdy konnej? Czy jest to sport dla każdego? Czy wiek również ma znaczenie?

J.S.: Kluczowe jest przede wszystkim to, by złapać z koniem dobry kontakt. Zwierzę musi czuć, że człowiek mu ufa. Wtedy odpłaca jeźdźcowi tym samym. Oczywiście trzeba mieć także elementarną sprawność fizyczną – zresztą jak przy każdym innym sporcie. No i opanować podstawy techniki jazdy konnej, co dla osoby sprawnej i chętnej do nauki nie powinno stanowić większego problemu. Rzecz jasna mam tu na myśli jazdę rekreacyjną, a nie zawodową. Bo ta ostatnia wymaga zdecydowanie większej wprawy i solidnych treningów.

T.S.: A jak wygląda kwestia utrzymania własnego konia? Ile czasu i środków trzeba na to poświęcić?

J.S.: To bardzo trudne pytanie, ponieważ wszystko zależy od tego, jakimi zasobami i rodzajem wierzchowców dysponujemy. Wydaje mi się, że utrzymanie jednego czy dwóch koni dla menedżerów dużych przedsiębiorstw nie powinno być wielkim obciążeniem. Co innego, gdy mówimy o własnej stadninie. To już zajęcie dla prawdziwych pasjonatów, którzy mogą poświęcić nie tylko środki finansowe, ale przede wszystkim własny czas.



JACEK STRYCYŃSKI
PREZES ZARZĄDU
LIONBRIDGE POLAND

Ukończył astronomię na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Absolwent studiów podyplomowych (specjalizacja: system bankowy i rynek papierów wartościowych) na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Z Lionbridge związany od 2006 roku. Aktywny członek Amerykańskiej Izby Handlowej w Polsce, gdzie kieruje Komitetem Business Technology and Services. Od kilku lat uprawia jeździectwo.

Z Komeda w tle

Jazz w Polsce to nie tylko barwna historia, przypomniana ostatnio przez Magdalenę Grzebałkowską. To także dziesiątki młodych muzyków, którzy odnoszą sukcesy na międzynarodowych scenach. Niemal setka festiwali. Wreszcie – kultowe kluby jazzowe.

TEKST: KAJETAN PROCHYRA

FOTO: SHUTTERSTOCK, IVON WOLAK, ZOSIA ZIJA & JACEK PIÓRO, ANITA SUCHOCKA

Sopot. Lato 1956. Przez niewielkie nadmorskie miasteczko przetacza się kolorowa parada lekkoduchów. Na jej czele, w pomalowanym w paski przedwojennym kabrioecie, stoi Leopold Tyrmand. Wśród tłumu wirują roztańczone, odziane jedynie w prześcieradła dziewczyny. Z niesionych transparentów szczególnie dobrze zostaną zapamiętane cztery plansze ozdobione literami: „D”, „U”, „P” i „A”.

TAK 62 LATA TEMU ZOSTAJE ZAINAUGUROWANY I OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL JAZZOWY. To wtedy, na oczach blisko 60 tys. fanów z całego kraju, rodzi się w Polsce nowoczesny jazz. To tu przed szeroką publicznością debiutuje sextet Krzysztofa Komedy. I to tu zaczyna swoją najnowszą książkę Magdalena Grzebałkowska. „Komeda. Oso-
biste życie jazzu” to najlepsza lektura dla każdego, kto chce

poczuć atmosferę, w której muzyczna wolność, jaką dawał jazz, przełamywała szarżę PRL-u przełomu lat 50. i 60.

Jednak jazz w Polsce to nie tylko barwna historia. To dziesiątki młodych muzyków, którzy coraz śmielej poczynają sobie na międzynarodowej muzycznej scenie. To blisko setka festiwali w całej Polsce. To wreszcie kultowe kluby, w których cały czas bije jazzowy puls.

NA TEGOROCZNYM FESTIWALU FILMOWYM W CANNES

Złotą Palmę za reżyserię filmu „Zimna wojna” odebrał Paweł Pawlikowski. Krytycy docenili także muzykę, którą do tego obrazu stworzył Marcin Masecki. Młody (rocznik 1982) pianista, kompozytor i improwizator od lat łączy sympatię do jazzowej tradycji – muzyki big-bandów czy fortepianowych ragtime’ów – z awangardowymi poszukiwaniami własnego muzycznego języka. Na wydanej w tym roku płycie





Atom String Quartet
– pierwszy polski
kwartet smyczkowy
grający jazz. Jeden
z niewielu takich
zespołów na świecie

Maciej Obara
– zdobywca dwóch
tegorocznych
Fryderyków

„Noc w wielkim mieście” Masecki, wspólnie z grającym na bandžo wokalistą Janem Emilem Młynarskim i kilkunastoosobową orkiestrą, przenoszą nas do świata przedwojennych dancingów i zapraszają do tańca przy dźwiękach szlagierów Adama Astona, Henryka Warsa czy Jerzego Petersburskiego.

Także saksofonista altowy Maciej Obara może zaliczyć ostatnich 12 miesięcy do udanych. Jego najnowsza płyta ukazała się nakładem jednego z najbardziej prestiżowych wydawnictw muzycznych na świecie – ECM. Dzięki tej współpracy album nie tylko świetnie brzmi. Można go także znaleźć na półkach sklepów muzycznych w całej Europie. I nie tylko.

Na krążek trafiły autorskie kompozycje Obary oraz jeden utwór Krzysztofa Komedy, napisany do filmu „Niekochana”.

To ten temat nadał tytuł całemu albumowi – „Unloved”.

Artystyczną wartość muzyki Obary potwierdziła m.in. tegoroczna gala Fryderyków, czyli nagród polskiego przemysłu fonograficznego. W ręce saksofonisty trafiły aż dwie statuetki w jazzowych kategoriach: za najlepszą płytę i dla muzyka roku. Polsko-norweski kwartet Obary – z pianistą Dominikiem Wanią, kontrabasistą Ole Mortenem Våganem i perkusistą Gardem Nilssenem – z powodzeniem koncertuje po obu stronach Atlantyku. W czerwcu znów wyruszyli za ocean, by zagrać sześć koncertów w USA i Kanadzie.

Być może jednak najwięcej do światowego jazzu wnieśli polscy... skrzypkowie. Przedwcześnie zmarłego Zbigniewa Seiferta amerykańscy entuzjaści porównują do Johna Coltrane’a. Jego



płyty „Passion” czy „Man of the Light” wytyczyły nową drogę dla improwizacji na smyczki. Obok Seiferta międzynarodowym uznaniem cieszył się Michał Urbaniak, którego skrzypce słyszał na płycie Milesa Davisa „Tutu”. Po dłuższej przerwie doczekaliśmy się kolejnych wybitnych jazzowych skrzypków. Jednym z nich jest Mateusz Smoczyński – improwizator, kompozytor, a także współzałożyciel pierwszego polskiego kwartetu

smyczkowego grającego jazz: Atom String Quartet. Najnowsza płyta zespołu jest poświęcona właśnie twórczości Zbigniewa Seiferta. Sam Smoczyński wydał zaś solowy krążek „Metamorphoses”, na którym jazz spotyka się z muzyką wybitnego kompozytora XX wieku – Györgyego Ligetiego.

Dobrze dzieje się także po elektrycznej stronie jazzu.

Prym wiedzie tu młody zespół EABS. Jego album „Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)” przypadł do gustu zarówno publiczności, jak i chyba najbardziej opiniotwórczemu radiowemu didżejowi na świecie, Gillesowi Petersonowi. Wielokrotnie prezentował on muzykę polskiego składu w swoich audycjach w Radiu BBC. EABS łączy jazzowe inspiracje z wpływami hip-hopu, soulu i muzyki elektronicznej. Obok saksofonu, trąbki, perkusji i basu z głośników płyną dźwięki syntezatorów, gramofonów i głos mistrza ceremonii – Marka Pędziwiatra.

JAZZU NAJLEPIEJ SŁUCHA SIĘ W KLUBIE, SIDZĄC POD SCENĄ,

z głową niemal zanurzoną w czarach instrumentów dętych. Po kilku latach posuchy Warszawa doczekała się wreszcie dwóch miejsc, w których entuzjaści improwizacji mogą regularnie odbywać seanse ze swoją ulubioną muzyką. Na tych, którym bliższa jest jazzowa czystość gatunkowa, czeka klub 12 on 14. Koncerty odbywają się tam prawie codziennie. W kameralnej scenarii można posłuchać polskich i światowych gwiazd jazzu. Przy ulicy Noakowskiego 16 gościli już m.in. John Scofield, Ravi Coltrane czy Carla Bley. Warszawski Pardon, To Tu zaprasza z kolei wszystkich, dla których najlepsza muzyka to ta, której jeszcze nie odkryli. Klub powrócił na lato do siedziby Nowego Teatru przy ulicy Madalińskiego. Na Mokotowie będzie rozbrzmiewać wolna improwizacja spod znaku London i Chicago Underground Roba Mazurka oraz afrobeat w wykonaniu Ebo Taylora i The Saltpond City Band.

Na mapie Polski ważne jazzowe adresy to także klub Żak w Gdańsku, Alchemia na krakowskim Kazimierzu, klub Dragon w Poznaniu czy wrocławski Ośrodek Postaw Twórczych. Jazzowe cykle koncertowe prowadzą też duże muzyczne instytucje, takie jak Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu, Filharmonia Szczecińska czy katowicki NOSPR.

JAZZOWY KALENDARZ W POLSCE BIJE PULSEM FESTIWALI.

Większość z tych najważniejszych imprez odbywa się jesienią. Na przełomie października i listopada najlepszej muzyki można posłuchać we Wrocławiu (Jazztopad), w Gdańsku (Jazz Jantar), Krakowie (Krakowska Jesień Jazzowa), Warszawie (Festiwal Ad Libitum, Jazz Jamboree), Bielsku-Białej (Jazzowa Jesień w Bielsku-Białej), Słupsku (Komeda Jazz Festival) ... i właściwie można by wyliczać, i wbijać pineski w jazzową mapę Polski jeszcze długo. Każdy z tych festiwali ma swoją specyfikę. Niektóre chętniej zapraszają zagraniczne gwiazdy. Inne

– urządzają premiery wspólnych projektów polskich i zagranicznych wykonawców. Wszystkie gwarantują najwyższy poziom zarówno artystyczny, jak i organizacyjny. Zanim jednak nastanie jesień, jazzu posłuchać można na Warsaw Summer Jazz Days. Tegoroczne gwiazdy festiwalu to sekstet Vijaya Iyera, trio Brada Mehldaua i elektryczne trio z Wielkiej Brytanii GoGo Penguin.

JAZZOWA SZTAFETA POKOLEŃ TRWA. Coraz głośniej robi się wokół artystów, którzy nie przekroczyli jeszcze 30. roku życia. Wśród nich, niczym w czasach Komedy, prym wiodą pianiści: Piotr Orzechowski, Kamil Piotrowicz, Kuba Płużek czy Kasia Pietrzko. Muzyka rozszerza swoje granice – w improwizacji mieszają się wpływy jazzu, elektroniki, muzyki tradycyjnej i współczesnej. I choć coraz trudniej sformułować jasną definicję, czym jest jazz, coraz łatwiej znaleźć bardzo dobrą polską muzykę.



Mateusz Smoczyński – na jego solowym albumie „Metamorphoses” jazz spotyka się z muzyką Györgyego Ligetiego

Wygrać z SM

W leczeniu stwardnienia rozsianego, jak każdej choroby, ważne jest to, by diagnozę postawić na bardzo wczesnym etapie – mówi prof. Krzysztof Selmaj, neurolog. Jego zespół odkrył mikrocząsteczki DNA, dzięki czemu stanie się to być może już wkrótce możliwe.

ROZMAWIAŁA: KATARZYNA PINKOSZ

FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

K.P.: Jakie są w tej chwili szanse, by w Polsce skutecznie leczyć chorych na stwardnienie rozsiane?

K.S.: Perspektywy są umiarkowanie pozytywne, w leczeniu dokonał się duży postęp. Obecnie mamy na świecie zarejestrowanych 14 leków do terapii stwardnienia rozsianego. To bardzo dużo, jeszcze 20 lat temu nie było żadnego. Sytuacja jest teraz dużo lepsza. Przez wiele lat walczyliśmy w Polsce o refundację leków. W ostatnim czasie wiele zmieniło się na korzyść i większość leków, które są zarejestrowane na świecie, jest dostępna także w Polsce. Jednak aby móc zastosować niektóre z nich, trzeba spełnić dodatkowe wymagania powyżej kryteriów rejestracyjnych, co ogranicza dostęp do tych medykamentów. Czekamy też na rejestrację dwóch najnowszych leków. Problemem jest również to, że nie we wszystkich częściach kraju dostępność jest taka sama. W niektórych regionach pacjenci muszą czekać na terapię. Lek jest więc refundowany, ale są

kolejki oczekujących. To oczywiście nie jest korzystne, ponieważ terapię najlepiej zastosować jak najszybciej. Dzięki temu mamy szansę, by zatrzymać rozwój choroby i nie dopuścić do pojawienia się trwałych zmian. Gdy pojawia się niesprawność, ich cofnięcie jest dużo trudniejsze.

K.P.: Zanim jednak zastosuje się jakąkolwiek terapię, trzeba zdiagnozować SM... Jak to dziś wygląda?

K.S.: Obecnie diagnostyka jest dość skomplikowana. Musimy obserwować pacjenta przez dłuższy czas, patrzeć, czy rozwijają się objawy kliniczne. Wykorzystujemy rezonans magnetyczny, który jest techniką dość trudną i drogą. Zmiany, które obserwujemy w rezonansie, nie są w 100 proc. specyficzne dla stwardnienia rozsianego. Musimy więc przeprowadzać także szeroką diagnostykę różnicową. To wszystko zajmuje czas.

K.P.: Jak to zmienić?

K.S.: Potrzebne jest odkrycie prostego markera diagnostycznego, dzięki któremu będzie można stwierdzić stwardnienie rozsiane. Podobnie jak to jest np. w cukrzycy.



Obecnie na świecie jest zarejestrowanych 14 leków do terapii SM. Jeszcze 20 lat temu nie było żadnego.



K.P.: W ubiegłym roku Pana zespół dokonał odkrycia mikrocząsteczek DNA, dzięki któremu będzie można wcześniej diagnozować SM...

K.S.: Nasze badania dotyczyły biomarkerów SM, czyli odkrycia możliwości szybkiej i prostej diagnostyki. Na świecie prowadzi się wiele badań, których celem jest odkrycie wczesnych biomarkerów SM. My podjęliśmy badania w zakresie poszukiwania markerów w obrębie cząsteczek RNA, które nie kodują białek. Mikrocząsteczki RNA odkryto po zakończeniu projektu sekwencjonowania genomu ludzkiego. Okazało się, że tylko niecałe 2 proc. naszego DNA koduje białka. 98 proc. zaś nie. Jednak w DNA są zapisane informacje o budowie innych cząsteczek, m.in. różnych typów mikrocząsteczek RNA. Mają one bardzo duże znaczenie regulacyjne we wszystkich procesach biologicznych, również patologicznych. Wśród tych cząsteczek zaczęto poszukiwać m.in. biomarkerów różnych chorób. W onkologii już udało się znaleźć takie biomarkery. Powoli wykorzystuje się je w diagnostyce. My, chyba jako pierwsza grupa badawcza na świecie, zaczęliśmy szukać powiązań mRNA ze stwardnieniem rozsianym. Udało nam się znaleźć cztery cząsteczki, które mogą mieć takie znaczenie. Oceniliśmy je w niezależnych grupach pacjentów. Wyniki opublikowaliśmy w amerykańskim czasopiśmie neurologicznym „Annals of Neurology”. Mam nadzieję, że będziemy mogli te prace kontynuować.

K.P.: A może być inaczej?

K.S.: Nasza grupa badawcza, która działała przy Uniwersytecie Medycznym w Łodzi, była bardzo aktywna. Przeprowadzaliśmy wiele badań. Teraz mamy pewien problem, ponieważ UM w Łodzi podjął decyzję o jej rozwiązaniu. Próbujeśmy odtworzyć grupę badawczą. Mam nadzieję, że to się uda.

K.P.: Jak wcześniej można by było diagnozować SM?

K.S.: Wstępne wyniki wskazują, że można by to robić na bardzo wczesnym etapie. Będziemy chcieli wykonać bardziej szczegółowe badania, żeby to jeszcze sprawdzić.

K.P.: Dzięki temu będzie można ewentualnie wcześniej podjąć leczenie i zapobiec powikłaniom SM?

K.S.: Taka jest idea: gdy mamy wczesne rozpoznanie, możemy wcześniej zacząć leczenie. Byłaby szansa zablokowania rozwoju choroby, kiedy u chorego nie ma jeszcze trwałych powikłań i niesprawności.

K.P.: Wcześniej opracował Pan metodę leczenia SM za pomocą plastrów naklejanych na skórę. Na czym ona polegała?

K.S.: To również jedno z naszych osiągnięć. Wspominałem o dużym postępie w leczeniu SM. Problemem jest jednak to,

że wszystkie leki działają na układ odpornościowy w sposób globalny. To znaczy: hamują nieprawidłowe reakcje autoimmunologiczne, które doprowadzają do wystąpienia SM, ale jednocześnie mają wpływ na te reakcje immunologiczne, które są nam potrzebne do normalnego życia, np. do ochrony przed wirusami i bakteriami. Leki mogą więc skutecznie hamować rozwój SM, ale jednocześnie wywoływać objawy uboczne związane z działaniem na układ odpornościowy. Czasami są one bardzo poważne. Dlatego potrzebna jest terapia bardziej selektywna.

K.P.: Można ją zastosować właśnie dzięki plasterom?

K.S.: Terapia plastrami mielinowymi ma zmniejszać tylko nieprawidłowe reakcje immunologiczne w SM. Możemy to osiągnąć dzięki mechanizmowi, który nazywa się „tolerancją zależną od antygenów”. Podajemy antygeny, które znajdują się w mielinie, uszkodzonej przez układ odpornościowy, a następnie wywołujemy na nie tolerancję. Podajemy antygeny na skórę – podobnie jak to się dzieje przy odczulaniu w przypadku alergii. Pierwsze wyniki naszych badań są bardzo zachęcające, terapia jest bardzo bezpieczna. Rozwijamy ją m.in. dzięki grantowi Narodowego Centrum Badań i Rozwoju z programu Strategmed. Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli tę terapię stosować szerzej u pacjentów.

K.P.: A czy komórki macierzyste mogą pomóc w leczeniu stwardnienia rozsianego?

K.S.: Jeśli chodzi o komórki macierzyste, to jest to terapia naprawcza, czyli taka, która nie blokuje rozwoju choroby, tylko naprawia jej skutki. To też pasjonujący temat. W próbówce komórki macierzyste mają ogromny potencjał. Mogą naprawić mielinę i neurony, wszystko odtworzyć. Niestety, jak na razie po podaniu komórek macierzystych choremu tracimy nad nimi kontrolę i nie zawsze wygląda to idealnie. Jest to jednak niewątpliwie zagadnienie, które będzie badane i rozwijane.

K.P.: Czy jest szansa, że odkrycia, których dokonano w Polsce, spowodują przełom w leczeniu SM?

K.S.: Bardzo na to liczę. Pracowałem przez pięć lat w USA. Wróciłem kilkanaście lat temu z nadzieją, że będziemy mogli wykonywać badania i uczestniczyć w tych światowych. Moja grupa naukowa była rozpoznawalna na całym globie, współpracowaliśmy z wieloma ośrodkami i naukowcami. Nie można dzielić nauki na polską i światową, trzeba uczestniczyć w nauce światowej, dążyć do najwyższego poziomu. Mamy w Polsce bardzo wielu młodych, zdolnych naukowców i nie widzę przeszkód, by nie mieli oni przyczyniać się do rozwoju nauki światowej. Nasze badania na temat mikro-RNA oraz badania dotyczące terapii naskórnego stosowania antygenów były publikowane w największych globalnych czasopismach naukowych. Wzbudzały ogromne zainteresowanie. Potencjał w Polsce jest. Trzeba go tylko odpowiednio wspierać i pielęgnować.



PROF. KRZYSZTOF SELMAJ
SPECJALISTA NEUROLOG

Pracuje w Katedrze i Klinice Neurologii Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Medycznego w Olsztynie.

Ma 38 lat doświadczenia w diagnostyce i leczeniu chorób neurologicznych. Przez wiele lat pracował w ośrodkach akademickich w Wielkiej Brytanii i USA.

Tradycyjnie, ekologicznie, w kostce

Prostota może być trudniejsza od komplikacji. Ten cytat, zaczerpnięty ze Steve'a Jobsa, to ich życiowe i biznesowe motto. I świetnie oddaje sens tego, na co w świecie nadmiaru kosmetyków zdecydowali się twórcy manufaktury Herbs & Hydro.

TEKST: AGNIESZKA PIASKOWSKA

FOTO: MATERIAŁY PRASOWE, JULIA ROZUMEK

Polskie kosmetyki – pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Mydło Bambino. Potem Biały Jeleń z Polleny Ostrzeszów, w którym do dziś rzeźbią studenci protetyki. Od tamtego czasu na polskim rynku kosmetycznym pojawiły się setki mydeł. A także: kremy, balsamy do ciała, płyny do kąpieli i wiele innych produktów wykreowanych bardziej przez modę niż rzeczywistą potrzebę. I mimo że ostatnie 20 lat wywróciło rynek kosmetyczny w Polsce do góry nogami i zmieniło zawartość półek w naszych łazienkach, jakoś na mydle nikt się nie poślizgnął.

Z RAPORTU POLITYKI INSIGHT I BANKU ZACHODNIEGO WBK Z MAJA 2017 ROKU

wynika, że rynek kosmetyczny w Polsce ma przed sobą świetne perspektywy rozwoju. „Niemał 23 tys. zatrudnionych (...) i 11,8 mld zł eksportu – te dane świadczą o znaczeniu tego sektora dla całej gospodarki” – czytamy w raporcie. – „Polski rynek jest szósty w Europie zarówno pod względem produkcji, jak i konsumpcji, a obydwa te wskaźniki będą stabilnie rosły w najbliższych latach. (...) W naszym kraju działa blisko 400 producentów kosmetyków. Zdecydowana większość z nich to firmy z kapitałem polskim, przeważnie mikro- i małe przedsiębiorstwa. (...) Ich produkty trafiają niemal do wszystkich państw świata, choć głównie do Niemiec, Wielkiej Brytanii i Rosji”. Co decyduje o ich sukcesie? Wieloletnia tradycja, wykształcone kadry, wysoka jakość i przystępna cena. A co wzmocni ich pozycję przez najbliższe



lata? Mądre kampanie promocyjne, lojalność wobec krajowego klienta i błyskawiczna reakcja na nowe trendy. O tym, że nasze marki robią furorę na świecie, przekonałam się rok temu w Stanach Zjednoczonych. Znajoma Iranka, która najczęściej inwestuje w twarz, bo tylko ją może pokazać w kraju, z którego pochodzi, zachwyliła się moim lawendowym mydłem – prezentem od ekoznajomych z Katowic. Od tamtej pory

zamiast ptasiego mleczka zamawia u mnie tylko to mydło. Twierdzi, że polska lawenda pachnie prawdziwiej niż ta irańska. O sekret lawendowej kostki zapytałam jej producentów – Julię i Tomka, pomysłodawców i właścicieli manufaktury Herbs & Hydro, działającej online pod nazwą tradycyjnymydl.pl. Pierwsze aromatyczne produkty, które wyszły spod ich rąk, były prezentami bożonarodzeniowymi dla ich rodzin i nazywały się



Lawendowe Nastroje. Były to poduszki wypełnione gryką i lawendą. – Chcieliśmy sprawić bliskim małą, pachnącą przyjemność, a uruchomiliśmy domowe spa. Antyalergiczne, oddychające poduszki sprawdziły się doskonale w roli nocnych mikromasażerów – wspomina Julia, która w ubiegłym roku porzuciła etat, aby całkowicie poświęcić się produkcji kosmetyków naturalnych. – Lawendę czuło się wszędzie, nie tylko w sypialni. Nic dziwnego, że w naszych głowach pojawiła się idea mydła lawendowego. Postanowiliśmy, że będzie to dobre i prawdziwe mydło. Po kilku tygodniach, upojeni lawendą, wpadli na pomysł stworzenia pierwszego w Polsce mydła z... konopi. – Zachwyciło nas wszechstronne działanie oleju konopnego. Sprowadziliśmy go zza granicy. Część zjedliśmy, zgodnie z zasadą, że to, co jadalne, można też kłaść na twarz (nigdy na odwrot), resztę wtłoczyliśmy w kosmetyki – śmieje się Julia, dodając, że to był najbardziej zmysłowy etap w życiu jej rodziny. – Testy trwały kilkanaście tygodni. Wciągnęliśmy w to całą rodzinę i znajomych. Wąchaliśmy, wcieraliśmy, ocenialiśmy konsystencję, sprzecząc się o to, czy lepsze będzie mydło maziste, czy

zwarte. Kostka mydła w historii higieny polskiej nie zmieniała kształtu i składu od kilkudziesięciu lat. Trudno nam było ocenić, co się przyjmie. Zastanawialiśmy się też, do jakich wzorców możemy się odnieść w tradycjach mydlarskich?

ZACZYNALI SKROMNIE – OD DWÓCH RODZAJÓW MYDEŁ W KOSTCE. Od czterech lat sukcesywnie zwiększają swój asortyment. Obecnie proponują klientom i kontrahentom 15 rodzajów mydeł w kostce – w tym nową linię Pure Botanic. – Planujemy powiększyć ofertę o kolejne mydła w płynie i piance – w tej chwili produkujemy siedem rodzajów – opowiada Julia. – Dużym sukcesem było wprowadzenie do sklepu savon noir, czyli czarnego mydła w formie pasty, i – dzięki sugestii naszych klientów – małych, turystycznych mydeł w płynie. Współpracują z niewielką, rodzinną warzelnią mydła, która zatrudnia cztery osoby. Dzięki temu mają pewność, że na każdym etapie produkcji ich wyjątkowe receptury są starannie stosowane z dbałością o najwyższą jakość. Mydło powstaje w niewielkich partiach. Linia produkcyjna mieści się pod Warszawą. W tym



roku, dzięki dotacjom unijnym, planują rozbudowę i wyposażenie manufaktury w nowe urządzenia. Rozważają m.in. zakup maszyn do produkcji naturalnych kremów i balsamów. Mydła Julii i Tomka to produkty naturalne, co oznacza, że ich składniki są substancjami przyjaznymi dla skóry. Odwiedzających sklep internetowy tradycyjnymydl.pl intryguje kategoria „mydła dla wegan i wegetarian”. O co chodzi? – O to, co w środku. Słuchamy naszych klientów uważnie, szanujemy ich wybory. Wiemy, że zwracają szczególną uwagę na obecność składników pochodzenia zwierzęcego. To przede wszystkim tłuszcze roślinne. W żadnej z naszych kostek nie ma ani grama tłuszczu zwierzęcego. Bo ten zatyka pory, skóra „dusi się”, dochodzi do zachwiania struktury wodno-lipidowej. Stąd liczne reakcje uczuleniowe, wysuszenie, uczucie ściągnięcia. W naszych mydłach znajdziemy dobroczynne dla skóry oleje i ekstrakty: m.in. olej konopny i arganowy, rokitnik, lawendę czy propolis – wylicza Julia. Mydła są robione techniką prasowania na zimno (bazę mydlaną łączy się pod ciśnieniem z innymi składnikami aktywnymi). Dzięki tej technologii oleje i ekstrakty nie zmieniają składu chemicznego. Naturalne olejki eteryczne nadają mydłom niepowtarzalny zapach, a różne rodzaje mik, czyli naturalnych pigmentów mineralnych – delikatne, pastelowe zabarwienie. W procesie produkcji nie używają stabilizatorów-utwardzaczy, spieniaczy ani wybielaczy. W efekcie mydła naturalne są bardziej oleiste i dłużej się mydlą.

O TYM, ŻEBY PRODUKOWAĆ NATURALNE I EKOLOGICZNE MYDŁA, ZADECYDOWAŁA PASJA TOMKA. – W odróżnieniu od produktów spożywczych, w których powoli wyławialiśmy każdy szkodliwy składnik, w dziedzinie kosmetyki byliśmy w lesie – wspomina Julia. – Pomogły nam fitoterapeutyczne zainteresowania Tomasza, który rok temu z sukcesem ukończył medycynę klasztorną. Wciąż szuka nowych składników. Nie ma tygodnia, by nie zafascynował się kolejną rośliną. Penetruje zielone tereny i stare biblioteki, jeździmy razem na plenerowe zajęcia recepturowe i zagraniczne konferencje. Jednak bez naszych fachowców nie byłibyśmy tak rozpoznawalną marką naturalną. To prawdziwi warzelnicy mydła z 30-letnim doświadczeniem. Dzięki nim wiemy, które oleje łączą się lepiej, a które gorzej, jaki piling wybrać do mydła i przede wszystkim – jak zrobić wspańiały, naturalny produkt bez konserwantów i stabilizatorów. Konopiami siewnymi Tomasz zaczął interesować się w 2011 roku podczas studiów na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. To wtedy odkrył, jak niewiele jest informacji na ich temat w języku polskim, choć to przecież roślina z tutejszej strefy klimatycznej. Zachwyceni doniesieniami o jej działaniu wyprodukowali najprostszy kosmetyk świata – kostki z olejem konopnym. – Ryzykowaliśmy, ponieważ konopie mają specyficzny zapach i są rośliną o złej reputacji, mimo że odmiana wykorzystywana

w kosmetologii nie ma nic wspólnego z marihuaną – wyjaśnia Julia. – Był to więc test – dla cery i mentalności Polaków. Okazało się, że nasze kompozycje przynoszą ulgę przy chorobowych problemach skóry, takich jak egzema i atopia. Wygaszają stany zapalne i ochraniają naskórek. Poszliśmy więc za ciosem i po dwóch latach stworzyliśmy mydło konopne w płynie i piance. Teraz to nasz bestseller. Aktywnie budujemy linię produktów konopnych, które są alternatywą dla kosmetyków aptecznych i detergentów do mycia ciała. Jednak największym wyzwaniem stało się mydło maziste z Maroka. Na fali sukcesów z konopnymi hitami marokańskie receptury wydawały się kosmetycznym samograjem. Ale diabeł jak zawsze tkwił w szczegółach, tu konkretnie w błotnej, brunatnej mazi, która miała być bazą pod luksusowy produkt. – Savon noir to nasz mydlany paradoks, czyli mydło nie do mycia. Brzmi jak nonsens? – pyta retorycznie Julia. – Nie mogliśmy inaczej zaanonsonować savon noir. Dlaczego nie do mycia? Bo savon noir jest mydłem wymagającym czasu i skupienia na sobie. Chcesz przejść przez prawdziwy mydlany rytuał? Zatem zapomnij o szybkim, energetycznym prysznicu lub zanurzeniu się w wannie pełnej piany.

W ŻYCIU I BIZNESIE MAJĄ SWOJE MOTTO. To cytaty z przemówienia Steve’a Jobsa, wygłoszonego 12 czerwca 2005 roku do studentów Uniwersytetu Stanforda. „Prostota może być trudniejsza od komplikacji: trzeba się ciężko napracować nad wydobyciem czystej myśli, która pozwala na prostotę. Ale warto – bo kiedy już się to ma, można przenosić góry”. Prostota nie jest oczywista i nie przychodzi do nas naturalnie, bo mimo największych starań daleko nam do natury. – Ślepo kupujemy, nie czytamy etykiet, wierzymy w cudowne działania kolejnego ultraserum najnowszej generacji i nie przyjdzie nam do głowy, że do codziennej higieny wystarczą nam dwa dobre kosmetyki – wyjaśnia Tomek. Na pytanie, co dalej, odpowiadają bez zastanowienia. – Nie byłibyśmy sobą, gdybyśmy nie myśleli o kolejnych produktach. W tym roku zamierzamy uzyskać badania na szampony i linię produktów dla mężczyzn, której nazwy jeszcze nie zdradzimy. Będą to produkty naturalne, robione zgodnie ze sztuką fitoterapeutyczną i warzelniczą. Zauważyliśmy, że chociaż mydła w kostce cieszą się popularnością, musimy zwiększyć ofertę mydeł płynnych i w piance. To nasz priorytet na najbliższe, letnie tygodnie. Docelowo pragniemy skupić się na stworzeniu kilku głównych linii (botanicznej, konopnej, dla mężczyzn). Będą one zawierały – oprócz mydeł – hydrolaty, kremy i szampony. Śmiało patrzymy w przyszłość. Jesteśmy świadomi swoich możliwości, mamy rozwijającą się markę, która jest rozpoznawalna. Wszystko stworzyliśmy sami – dysponując tymi samymi 24 godzinami co inni. Jesteśmy z tego dumni i sukcesywnie rozwijamy nasze linie produktów naturalnych. Bo tam, gdzie jest rozwój, jest i różnorodność.

„Gorsza” siostra malarstwa

Miniony system ustawił ją w roli szpiega i donosiciela. Po upadku komunizmu oswajaliśmy się z nią, by w końcu nadać jej należną rangę. Dopiero ostatnia dekada zmieniła polski rynek fotografii kolekcjonerskiej. Dziś hołduje on zasadzie: „Kupić tanio – sprzedać drogo”. Przed nami kolejny etap: „Kupić za tyle, ile jest warte, i nie sprzedawać dalej”.

TEKST: AGNIESZKA PIASKOWSKA

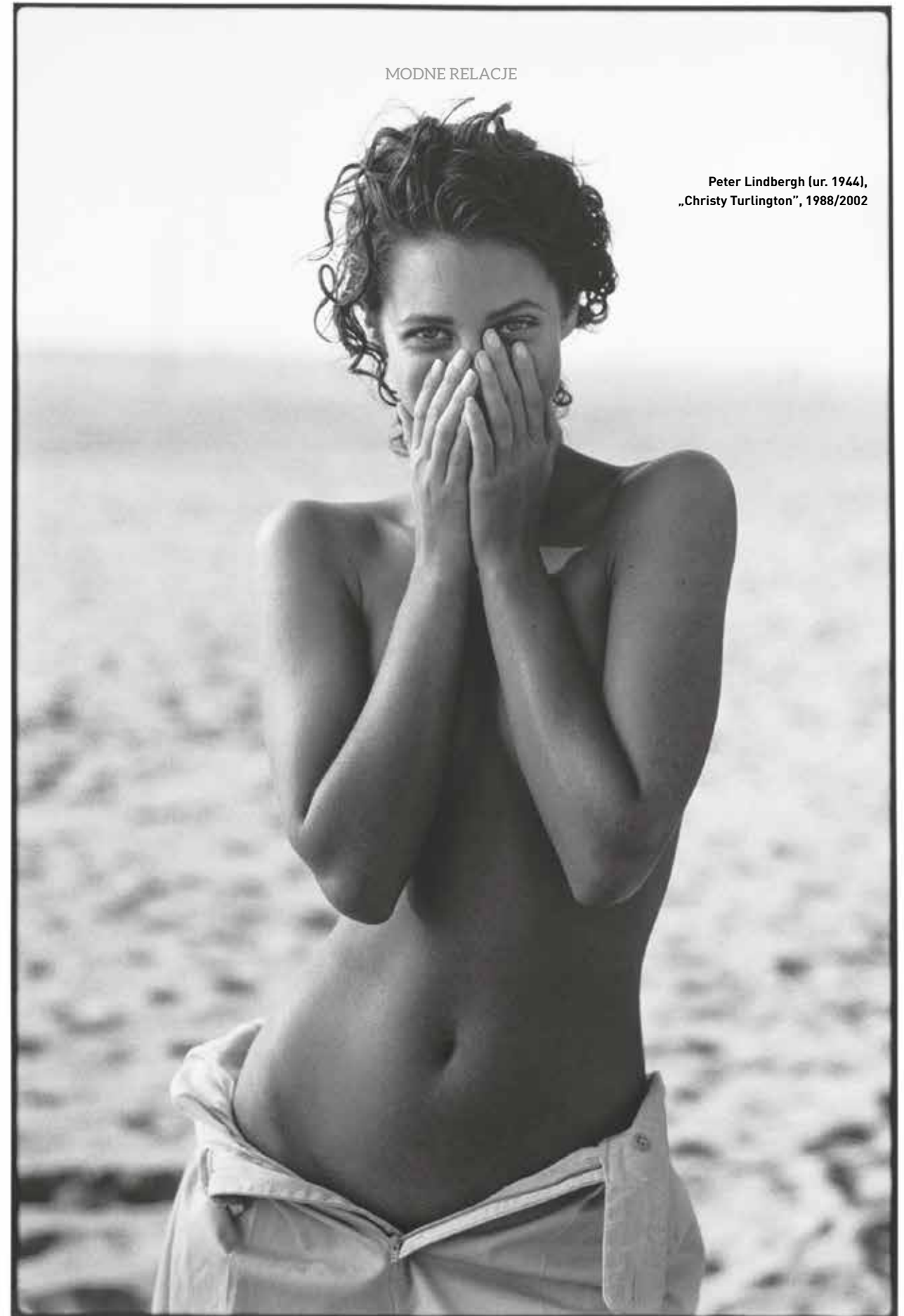
FOTO: DOM AUKCYJNY LIBRA, DOM AUKCYJNY LIBRA
(ZDJĘCIA Z KOLEKCJI WOJCIECHA JĘDRZEJEWSKIEGO)

Jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie kilka lat temu, krytycy sztuki pisali o fotografii kolekcjonerskiej, że „choć piękna i intrygująca, w dalszym ciągu na rynku polskim nie radzi sobie zbyt dobrze” („Rynek i Sztuka” z 3 września 2012 roku). Wspominali też o „pewnym ruchu”, który chce popularyzować fotografię. Skutki jego działań miały być jednak nieodczuwalne – tak dla oczu koneserów, jak i portfeli autorów zdjęć.

DZIŚ WŚRÓD WYDARZEŃ Z POGRANICZA KULTURY I SZTUKI NIE BRAKUJE TYCH O TEMATYCE FOTOGRAFICZNEJ.

Kalendarze organizatorów i portale społecznościowe obfitują w informacje o kolejnych festiwalach, aukcjach, publikacjach, seminariach, plenerach, wystawach. Warto więc zadać pytanie o skuteczność owego zagadkowego, niezauważalnego „ruchu”, który wyniósł polską fotografię kolekcjonerską na katedry, pod młotek aukcyjny i przed eksperckie oko. Czy naprawdę kilka lat temu nikt nie myślał o zakupie zdjęć klasyków – Zofii Rydet, Jana Bułhaka, Jerzego Lewczyńskiego, Bronisława Schlabsa, Zdzisława Beksińskiego, Zofii Kulik, Natalii LL? – Fotografia uchodziła do niedawna za rzemiosło, nie za sztukę wyższą, w przeciwieństwie do malarstwa, hołubionego przez Europę i uznawanego za arystokratyczne – mówi kolekcjoner

Peter Lindbergh (ur. 1944),
„Christy Turlington”, 1988/2002



Zofia Rydet (1911–1997),
„Zagłada”, ok. 1970



Piotr Zaleski-Sokół,
bez tytułu, 1988



polskiej fotografii awangardowej z lat 60.–90., założyciel Fundacji Energia Obrazu, na razie jedynej organizacji statutowo udostępniającej fotograficzne białe kruki w pierwszej kolejności Polakom (większość wybitnych zdjęć trafia do nabywców zagranicznych, stąd tak uboga wiedza o tym, co mamy). – Gdy zajrzemy do domów i mieszkań rodaków albo w przestrzenie publiczne: sale konferencyjne, bankowe, poczekalnie w przychodniach, nie znajdziemy na ścianach fotografii. Jeśli już, to neutralne motywy roślinne, pobrane z darmowych baz zdjęciowych, albo wydruki zdjęć wykonane przez amatorów fotografii przyrodniczej. Po obaleniu komunizmu obrazy, które nas otaczają na co dzień, traktowaliśmy dekoracyjnie. Teraz nie liczy się tylko „żeby było ładnie i kolorowo”. Wyostrzyły nam się zmysły i gusta. Chcemy więcej dobrej sztuki. Dla jednostki, nie dla mas. Do kupowania oryginalnych zdjęć zachęca nieustabilizowana sytuacja na polskim rynku fotografii kolekcjonerskiej. – Prace najlepszych fotografów wciąż są wyceniane niżej niż prace najlepszych malarzy – tłumaczy twórca Energii Obrazu (prosi, by nie podawać jego nazwiska z uwagi na unikatową i cenną kolekcję, którą przechowuje w domu).

CO MA WSPÓLNEGO KOMUNIZM Z FOTOGRAFIA KOLEKCJONERSKĄ? Fotografia, podobnie jak malarstwo, rysunek czy rzeźba, ma swoją dynamiczną historię, apologetów i wyznawców. Nie da się jej rozpatrywać w oderwaniu od przemian społecznych i politycznych. To, co wieszamy na ścianach galerii czy w pokoju gościnnym, zależy od dostępności, popularności i ceny pożądanego obiektu.



Natalia LL (ur. 1937),
„Birds of Freedom”, 2001



Stanisław Ignacy Witkiewicz (1885–1939),
„Przerażenie wariata”, 1931

Znawcy tematu twierdzą, że dopiero po wyjściu z „komuny” zrobiło się w Polsce miejsce w przestrzeni artystycznej i wystawienniczej dla fotografii, także tej dokumentalnej i performatywnej. Zdaniem historyków sztuki poprzedni system ustawił fotografię w roli szpiega i donosiciela. Oswajaliśmy się z tym medium jak każde otwierające się na Zachód społeczeństwo, jednak ostatnie 10 lat kompletnie zmieniło rynek. Dla porównania – w późnych latach 90. prace Natalii LL były do kupienia za tysiąc złotych. Trzy lata temu, na jubileuszowej 15. aukcji projektu Fotografia Kolekcjonerska, zdjęcie artystki pt. „Sztuczna fotografia” sprzedano za 11 tys. zł, z ponadtrzykrotnym przebicciem w stosunku do ceny wywoławczej. Nieustającym liderem na aukcjach wśród nieżyjących artystów jest Witkacy. Pewniak nad pewniaki. Od lat jego prace osiągają rekordowe ceny, np. w 2016 roku za zdjęcie „Potwór z Düsseldorfu” nabywca zapłacił 170 tys. zł (200 tys. zł z opłatami aukcyjnymi). Ta najdrożej sprzedana fotografia artystyczna w Polsce przedstawia Stanisława Ignacego Witkiewicza udającego potwora (inspiracja niemieckim filmem grozy) i jego kochankę Janinę Turowską, niewzruszenie wpatrującą się w obiektyw. Poprzedni rekord aukcyjny należy również do Witkacego. Fotografię „Kolaps przy lampie” sprzedano za 135 tys. złotych.

PRZYNETĄ DLA KOLEKCJONERÓW SĄ ZDJĘCIA MISTRZÓW FOTOGRAFII ŚWIATOWEJ. Domy aukcyjne czyhają na prace Richarda Avedona, którego dzieło „Dovima i słonie” sprzedało się w Paryżu za łączną kwotę przekracza-



Richard Avedon (1923–2004),
z albumu fotograficznego „Made in France”, 2001

jącą 7,5 mln dolarów. Milтона Greena, znanego z setek zdjęć Marilyn Monroe (był nie tylko jej fotografem, lecz także doradcą i wspólnikiem agencji producenckiej Marilyn Monroe Productions). Helmuta Newtona, pracującego dla największych domów mody. Gordona Parksa, pierwszego czarnoskórego fotografa mody, którego prace mogliśmy oglądać w Zachęcie wiosną minionego roku. Davida Dreбина, najgorętszego nazwiska wśród



Dariusz Dyr (ur. 1962),
„Wenus. Agnieszka 1”, 1998/2003



Krzysztof Gieraltowski (ur. 1938)
„Edward Dwurnik” (z cyklu Ring), 1985/2015

fotografów mody młodego pokolenia. Jego „Movie Star” na aukcji w Nowym Yorku kupiono za ponad 16 tys. dolarów. Do najdroższych fotografów zalicza się Andreasa Gursky’ego, Cindy Sherman (u obojga cena za jedno zdjęcie wynosi ponad 1 mln dolarów). Kontrowersyjnymi pracami, bo niezaliczanymi przez ekspertów do sztuki wysokiej, znajdującymi się w obiegu pozagiełdowym, są krajobrazy Australijczyka Petera Lika. Jego „Phantom”, czarno-białe zdjęcie zrobione w Kanionie Antylopy w Arizonie, trafiło do prywatnego kolekcjonera za 6,5 mln dolarów. Ustanowiło ono tym samym rekord na rynku światowej fotografii (tyle dostał na rękę autor, pomijając opłaty aukcyjne).

W UBIEGŁYM ROKU W OFERTACH WARSZAWSKICH DOMÓW AUKCYJNYCH dominowały autorskie odbitki typu vintage print. Cechuje je to, że zostały wykonane z negatywu, nie później niż pięć lat po wywołaniu filmu fotograficznego. Do powstania odbitki przyłożył rękę sam autor albo

przynajmniej nadzorował jej powstanie. Do typów fotografii kolekcjonerskiej eksperci zaliczają także: unique print – tylko jeden egzemplarz i brak negatywu, czyli bez szans na wykonanie odbitki; life time print/modern print – odbitkę wykonał autor z oryginalnego negatywu, ale kilka lat później; reprint – odbitka wykonana z negatywu, lecz nie przez autora zdjęcia (z reguły po jego śmierci) i w ograniczonym nakładzie (dla kolekcjonerów mają one częściej status luksusowych plakatów, a nie dzieł sztuki); copy print – szczegółowo opisana reprodukcja oryginału wykonana z kontrnegatywu. Początkujący kolekcjonerzy najczęściej porządkują wiedzę, korzystając z artykułu Zbigniewa Zegana „Zasady wykonania współczesnego nakładu artystycznego fotografii pojedynczej oraz zestawu fotografii w tece autorskiej”. Autor tłumaczy np., jak powinny być sygnowane odbitki kolekcjonerskie. Jedną z podstawowych zasad jest opisanie dzieła przez jego autora ołówkiem, nie piórem czy długopisem.



Jan Bułhak (1876–1950),
bez tytułu, przed 1917 (dyptyk)



Henri
Cartier-Bresson
(1908–2004),
„Brasserie, Lipp”,
1969/2002



Liczy się również „kondycja” zdjęcia. Profesjonalni kolekcjonerzy bezlitośnie odzierają z romantyzmu poszukiwanie starych zdjęć na strychu czy w piwnicy. Odbitki są kapryśne i łatwo ulegają deformacji. Idealne do przechowywania fotografii są chłodne, ciemne miejsca i bezkwasowy, neutralny „klimat”. Czy kolekcjonowanie fotografii wymaga przygotowania? Na pewno wymaga ekspertyzy, której udzieli tylko znawca tematu, a takich na polskim rynku wciąż jest niewielu. Problem w tym, że na młodym polskim rynku kolekcjonerskim brakuje doradców niezależnych, czyli osób znających wartość poszczególnych prac, lecz niezwiązanych z domami aukcyjnymi, muzeami, galeriami. Świadomi kolekcjonerzy, zniechęceni interesownością ekspertów, rozglądają się za miejscem do profesjonalnej dyskusji i rzetelnej informacji. Każdą sztukę można przehandlować, zwłaszcza teraz, gdy ceny polskiej fotografii są niedoszacowane w stosunku do światowej.

CO DLA KOLEKCJONERA FOTOGRAFII OZNACZA TZW. DOBRY GUST? Parafrazując wieszczkę Mickiewicza, właściwie tyle, co patrzeć w zdjęcie i mieć zdjęcie. – Im więcej oglądamy, tym nasze oko bardziej się wyrabia. Więcej widzimy, dopytujemy bardziej doświadczonych, poszukujemy, aż wreszcie polykamy bakcyła i zaczynamy działać na własną rękę. Czyhamy na okazję, a tych nie brakuje. Rynek młodych twórców daje kolekcjonerom olbrzymie możliwości. Podobno w tym największa frajda, by zainwestować w nieznaną pracę, która za kilka lat znajdzie się na liście pożądanых. Kupić tanio – sprzedać drogo, tak funkcjonuje polski rynek fotografii kolekcjonerskiej. Regulują go aukcje, czyli zorganizowana forma zakupu. Na wprowadzenie nowego kierunku: „Kupić za tyle, ile jest warte, i nie sprzedawać dalej”, nie musimy czekać kolejnych 10 lat. Właściciele jednej z największych kolekcji w kraju,



Wojciech
Prażmowski
(ur. 1949),
„Fotografia
dla Matsudy”,
1991–2000

państwo Madelscy, uważają, że fotografia w sposób bardziej demokratyczny i żywszy niż malarstwo przemawia do szerokiej publiczności, zwłaszcza do młodych. Ich zdaniem marzeniem każdego kolekcjonera jest dzielić się tym, co ma, z innymi. Na zachętę małżeństwo kolekcjonerów przypomina, że aukcje sztuki są otwarte dla wszystkich, a ceny wywoławcze nie straszą jak „Potwór z Düsseldorfu”.



Japońska wyspa Ishigaki, Kapaa na Hawajach, stolica Kenii Nairobi, kanadyjski Halifax i... rodzimymy Gdańsk. Co je łączy? Wszystkie znalazły się w ścisłej czołówce rankingu „Top Destinations on the Rise” serwisu TripAdvisor.

TEKST: DOROTA KORNACKA

FOTO: SHUTTERSTOCK

Sukces Gdańska jest tym większy, że zajął on nie tylko piąte miejsce na świecie, lecz także pierwsze w Europie. Dopiero za nim uplasowały się stolice: kostarykańskie San José i łotewska Ryga, dwa urokliwe nadmorskie miasteczka – położone w chorwackiej Istrii Rovinj i leżąca na hiszpańskim Costa del Sol Nerja, a nawet Casablanca – tytułowa bohaterka kinowego romansu wszech czasów z Ingrid Bergman i Humphreym Bogartem.

SWOJĄ OBECNOŚĆ W PIERWSZEJ PIĄTKIE ZESTAWIENIA GDAŃSK ZAWDZIĘCZA opiniom użytkowników jednego z najpopularniejszych serwisów turystycznych świata. Oceniają oni atrakcyjność, zabytki i położenie odwiedzanych

przez siebie miejsc. Te, które w ostatnich 12 miesiącach zanotowały najwyższy wzrost pozytywnych opinii, trafiają na coroczną listę najciekawszych celów podróży serwisu TripAdvisor.

Co najbardziej urzekło turystów, którzy odwiedzili Gdańsk?

Jego położenie – bliskość morza i dostępność piaszczystych plaż.

No i oczywiście zabytki. Najwięcej zachwytów wzbudziło Główne Miasto. To tu znajdują się m.in.: bazylika Mariacka, Złota Brama, Ratusz Głównego Miasta i Droga Królewska (z ulicą Długą, Długim Targiem i stojącymi przy nim Dworem Artusa i fontanną Neptuna). Kolejnym miejscem w Gdańsku, którego nie można pominąć, jest otwarte zaledwie przed rokiem Muzeum II Wojny Światowej – uważają użytkownicy serwisu TripAdvisor. I wskazują, że atrakcji turystycznych jest w mieście znacznie, znacznie więcej. W sumie opisują oni i oceniają ich aż 296.

Gdańsk jest gwiazdą nie tylko tego rankingu. Rok wcześniej zadebiutował w międzynarodowym plebiscycie European Best Destinations 2017. I od razu znalazł się w pierwszej trójce. Tuż za Porto i Mediolanem.

